

SŁOWA

WAŻNE DLA ORNONTOWICZAN
Z PERSPEKTYWY OSTATNICH 100 LAT HISTORII



w ramach projektu
100/100 czyli 100 słów na 100 lecie Niepodległości



SŁOWA stwarzają, nadają znaczenie, określają rzeczywistość, a jeszcze częściej ją zmieniają. Są wspólne dla wielu, a niejednokrotnie ich znaczenie znają nieliczni. Ich wspólna definicja łączy ludzi, jednak ich różne rozumienie potrafi bardzo dzielić. Są słowa w naszej mowie powszechnie zrozumiałe przez wszystkich, są i takie, które funkcjonują tylko w danej rodzinie, w danym domu. Słowa mają potężną moc, o której często zapominamy...

To właśnie poszukiwanie słów istotnych i ważnych stało się przyczynkiem do projektu 100/100, który ma na celu popularyzację wiedzy o języku. Dzięki niemu udało nam się, w niewielkim stopniu, przyczynić do gromadzenia i utrwalania słownych zasobów dziedzictwa naszego regionu, by w ostateczności znaleźć 100 słów ważnych, z perspektywy historii, związanych z życiem mieszkańców Ornontowic, a na ich podstawie znaleźć 10 słów ważnych z perspektywy 100-lecia odzyskania przez Polskę Niepodległości.

Nasze działania rozpoczęły się rozmowami z mieszkańcami Ornontowic. Aby zainteresować młodzież „słowem”, wraz z panią Moniką Orłowską-Przybyłą, zaprosiliśmy uczniów naszego gimnazjum do zaangażowania się w tę przygodę językową i do przeprowadzenia wywiadów z mieszkańcami Ornontowic. Jednak zanim doszło do spotkań, prof. dr hab. Ewa Kołodziejek, przedstawiła młodzieży zasady przeprowadzania wywiadu językowego. Wszystko w nowoczesnej formie internetowego seminarium – tzw. webinarium. Przez dziennikarkę AntyRadia - Magdę Mleczo, zostały przeprowadzone warsztaty dotyczące sztuki dziennikarskiej, a uczniowie zapoznali się z zasadami przeprowadzania i spisywania wywiadu.

Wspólnie z Towarzystwem Miłośników Ornontowic zaprosiliśmy do udzielenia wywiadów mieszkańców Ornontowic, o różnym doświadczeniu życiowym i zawodowym, nawiązujących w swych opowieściach do różnych okresów historycznych. Piękne, a zarazem wzruszające opowieści, niosły za sobą słowa. Pozwoliło to ocalić wiele z nich, a także odkryć piękno słowa mówionego, tak różnorodnego w tym przypadku, przeplatane niejednokrotnie coraz rzadziej słyszana przepiękną „ślaską godką”. Młodzieży w procesie przeprowadzania wywiadów towarzyszyła studentka polonistyki, Agata Makselon. Samo spotkanie uczestników było wspaniałym doświadczeniem, natomiast przepisywanie wywiadów z dyktafonu do plików tekstowych, było już nie lada wyzwaniem. Edycja ich do form publikacji również związana była z wieloma skomplikowanymi działaniami, w które, poza zespołem redakcyjnym, czynnie zaangażował się Andrzej Kotyczka, jako przedstawiciel Towarzystwa Miłośników Ornontowic. Piętnaście z dwudziestu przeprowadzonych wywiadów znajdziecie Państwo w niniejszej publikacji.

Kolejnym etapem projektu było znalezienie 100 słów ważnych z perspektywy historii związanych z życiem mieszkańców Ornontowic. Z kolei na podstawie tych 100 słów – zostało określonych 10 ważnych słów, z perspektywy 100-lecia odzyskania przez Polskę Niepodległości. Ten wybrany kanon znajdziecie Państwo w niniejszej publikacji.

10 słów stało się kanwą do zorganizowania gry terenowej, w której mieszkańcy wcielili się w rolę poszukiwaczy kapsuły czasu z ważnymi słowami, zakopanej 100 lat temu przez naszych przodków.

Działająca w ARTerii grupa filmowa Filmovies, wybrała jedno z dziesięciu słów i przedstawiła go w formie filmu. Film pokazuje znaczenie słowa „RODZINA” w zestawieniu ze słowem „bohater”. Świat widziany z perspektywy młodego pokolenia jest już inny niż ten z wywiadów, ale jak pokazuje film, te światy mogą, a nawet muszą się spotkać. Produkcję można obejrzeć na arteryjnym kanale w serwisie YouTube. Prace nad tym działaniem koordynowali prowadzący zajęcia filmowe - Agnieszka Gilner i Bartłomiej Nowicki.

A wszystkie te działania odbyły się w kontekście 100-lecia odzyskania przez Polskę Niepodległości! W projekcie, w ramach spotkań, o aspekt historyczny zadbała Kornelia Osińska-Kurpas. Jesteśmy pewni, że ta publikacja będzie „żyła” swoim życiem jeszcze po zakończeniu projektu, dlatego zamieszczamy w niej wykład historyczny, prezentowany w ARTerii przez Urszulę Pałę.

Przekazując na Państwa ręce niniejszą publikację, mam nadzieję, że „usłyszycie” te emocje, wzruszenia, smutki i radości, których byliśmy świadkami w trakcie realizacji tego projektu. Mamy również nadzieję, że jednocześnie pochylicie się nad 10 wybranymi przez nas słowami i zastanowicie się nad tym, jakie one mają dzisiaj znaczenie dla Was.

Dziękuję za pomoc wszystkim osobom zaangażowanym w ten projekt, który dla mnie i dla mojego zespołu okazał się nie lada wyzwaniem.

*Aleksandra Malczyk, Dyrektor ARTerii
Centrum Kultury i Promocji w Ornontowicach*

Redakcja:

Praca zbiorowa

Koordinacja:

prof. dr hab. Ewa Kołodziejek, Aleksandra Malczyk, Agata Makselon, Monika Orłowska-Przybyła, Kornelia Osińska-Kurpas, Andrzej Kotyczka, Kamil Grzywok, Ireneusz Kubicki, Marzena Lewandowska,

Reporterzy:

Bianka Moczulska, Jakub Modrzyk, Aneta Łoborzewicz, Krzysztof Krukowka, Karolina Wermińska, Aneta Nocoń, Partrycja Garus, Monika Malcherczyk, Natalia Rabus, Magdalena Szpik, Wiktoria Jonak, Dominik Kowalski, Izabela Zajusz, Julia Goszczycka, Natalia Grzywok, Gosia Spyra, Zuzanna Harazin, Klaudia Porwolik, Oliwia Gajda

Udzielający wywiadów:

ks. Lucjan Bielas, Maksymilian Chrobok, Andrzej Kotyczka, Bolesław Piątek, Bronisława Porębska, Eleonora Skrobacz, Gizela i Felicja Herdzina, Jan Gołąb, Zygfryd Kotyczka, Lidia Szary, Małgorzata Malczyk, Marian Matras, Ronald Winkler, Stanisław Mazurek, Cecylia Spyra, Małgorzata Mrozek, Teresa Zdzieblik-Kudła, Andrzej Zdzieblik, Walter Niemiec, Henryk Swoboda, Aleksy Gembolis

Realizatorzy filmu:

Agnieszka Gilner, Bartłomiej Nowicki, Barbara Gilner, Jan Gilner, Izabela Dobisz, Piotr Marszałek, Karol Krupa, Karol Gilner, Krystian Malczyk

Publikacja sfinansowana ze środków finansowych Narodowego Centrum Kultury, w ramach projektu „100/100 czyli 100 słów na 100-lecie Niepodległości Polski”, z programu „Ojczyście dodaj do ulubionych”

Wydawca

ARTeria Centrum Kultury i Promocji w Ornontowicach
ul. Zwycięstwa 26, 43-178 Ornontowice
tel/fax 32 235 46 98 www.centrumarteria.pl

Rok wydania 2018

Nakład: 500 sztuk

Wszystkie prawa zastrzeżone
All right reserved
ISBN 978 83 934292 9 5


Prezentacja z okazji 100-lecia Odzyskania przez Polskę Niepodległości, z dnia 10 października 2018 r




W następstwie działań zaborców, w latach 1772, 1793, 1795, Rzeczpospolita przestała istnieć na mapie Europy. Jednak dla Narodu Polskiego suwerenne państwo było wartością najwyższą. Walka o Niepodległość trwała ponad 100 lat i naznaczona była ofiarą krwi przelaną w wojnach napoleońskich z licznymi zrywami niepodległościowymi, w powstaniu listopadowym, styczniowym oraz na polach bitewnych I wojny światowej. Marzenia o wolność spełniły się wraz z klęską trzech zaborców i zakończeniem I wojny światowej. Odbudowa państwowości, po 113 latach zaborów była procesem złożonym. 10.11.1918 roku powrócił do Warszawy, z więzienia w Magdeburgu, Józef Piłsudski.

11.XI.1918 r. podpisano zawieszenie broni na froncie zachodnim w lasach Compiegnez Rethondes. Tego samego dnia Rada Regencyjna oddała Piłsudskiemu naczelne dowództwo nad wojskiem a 14.XI. się rozwiązała przekazując całą władzę nad tworzącym się państwem J. Piłsudskiemu. Jednak Polskę czekało jeszcze wiele ciężkich momentów: powstanie wielkopolskie, wojna z bolszewikami, powstania śląskie, II wojna światowa, zależność od ZSRR. Prawdziwą wolność odzyskaliśmy w 1989 r. Naszymi przodkami, którzy o wolną Polskę walczyli z poczuciem odpowiedzialności i patriotyzmu winni jesteśmy pamiętać i szacunek. W dniu 22.XI.1918 r. Józef Piłsudski ogłosił się Naczelnikiem Państwa. W dniu 27.XII.1918 r., wybuchło powstanie wielkopolskie, które przywróciło Wielkopolskę do Macierzy. W Galicji Wschodniej trwały zacięte walki z Ukraińcami, na kresach wschodnich oddziały samoobrony walczyły z bolszewikami. Ponadto trzeba było 3 powstań śląskich, by część Górnego Śląska znalazła się w granicach Polski. Przypięciem do historii dzieła odrodzenia Rzeczpospolitej była Bitwa Warszawska, która uratowała młode państwo polskie i ocaliła Europę przed zalewem komunizmu. (angielski historyk lord L Abernethy zaliczył bitwę warszawską do 18 najważniejszych bitew w dziejach świata.) Dzień 11.XI.1918 r. w którym Piłsudski przejął władzę, dla uczczenia powstania suwerennego ośrodka władzy odrodzonej Polski ma charakter symboliczny i został oficjalnie 23.IV.1937 r. ogłoszony świętem narodowym. Jednak dzień ten był już od 1919 r. obchodzony jako Święto Niepodległości. Po II wojnie światowej władze Polski Ludowej usunęły to święto z kalendarza, ale nie z serc Polaków. Dopiero w 1989 r. Sejm IX Kadencji przywrócił narodowi to święto. Odzyskanie Niepodległości to wielka sprawa. Po 123 latach Polska wróciła na mapy Europy i świata. Stało się to tylko i wyłącznie dzięki hartowi ducha i niespożytym siłom narodu polskiego, w tym polskich chłopów, polskiej wsi, bo to oni stanowili większość mieszkańców. Niepodległość była wywalczona okupiona tułaczką i wyproszona przez tysiące polskich rodzin. Wygraliśmy dlatego, że byliśmy razem, że ponad podziały wzniesli się w listopadzie 1918 r. Witos, Daszyński, Piłsudski, Dmowski.

11.11.1918 r., 100 lat temu spełniło się marzenie całych pokoleń Polaków. Po 123 latach niewoli, 146 latach od pierwszego rozbioru i po dziesiątkach lat upartej rusyfikacji i germanizacji Polska stała się wolna. Jest to dzień, w którym wielu z nas rozmyśla nad tym, jak ludzie z wielkim poświęceniem walczyli o wolność naszej ojczyzny. Trudno jest zdefiniować słowo „ojczyzna”, gdyż dla każdego może być czymś innym, zaś na pewno powinno gościć w sercu każdego i odgrywać ważną rolę. Mówi się, że ojczyzna to ziemia, na której naród przeżył swoją historię, ale także krajobraz, rodzinny dom, groby przodków, obyczaje, kraj dzieciństwa, miejsce narodzin, jak również przywiązanie do języka. Ojczyzna to także wigilijny opłatek, kolędy, choinka, Częstochowa, Westerplatte, Grunwald, ale także klęski, okupacja, zabory, obozy koncentracyjne.



„Dziś do Ciebie przyjść nie mogę
Zaraz idę w mocy mrok
Nie wyglądaj za mną oknem
W mgle ustanie próżno wzrok
Po cóż ci kochanie wiedzieć
Że do lasu idę spać
Dłużej tu nie mogę siedzieć
Na mnie czeka leśna brać”



Słowa tej najbardziej wzruszającej piosenki partyzanckiej zawsze ścisnęły mnie za serce. Ci co ją śpiewali, dla nich wtedy wolność kraju była ważniejsza niż życie. Czy słynna do dziś „Rota” Marii Konopnickiej „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród”

Słowa przepełnione ogromnym patriotyzmem. Bohaterów narodowych jest wielu. Patrząc na wszystkie zrywy Polaków, byłoby co wymienić. Historia Polski jest niesamowicie barwna i w jednym wystąpieniu nie da się ująć wszystkiego.

Mówiąc o walce o niepodległość nie można pominąć polskich literatów.

„Polacy nie gęsi, iż swój język mają”... a język jest bardzo ważny dla istnienia kultury narodu. Kultura jest równie ważna jak walka, bo przecież

„Upaść może i naród wielki, zginąć tylko nikczemny”..... pisał Stanisław Staszic, czy słowa naszego hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy”... tak bardzo znaczące dla nas wolnych Polaków. Niepodległość, pozwala nam i naszym dzieciom realizować swoje cele. Pod obcym panowaniem byliśmy obywatelami drugiej i trzeciej kategorii, albo w ogóle nie byliśmy obywatelami tylko pamasami (człowiek nie mający żadnych praw).

Niepodległość to państwo, które szanuje prawa swoich obywateli. Jest suwerenne w stosunku do innych narodów. (Mam na myśli UE).

Niepodległość to szacunek dla języka, polskiej historii, a także praca na rzecz państwa w ramach tych obowiązków, które mamy. Niepodległość ma bardzo wiele odmian i barw. Ale niepodległość to także poszanowanie Konstytucji, która obowiązuje w danym kraju. To poszanowanie bezwzględne i możliwość konsensu i dogadanie się, czym ta konstytucja dla nas jest i jakie reguły nas obowiązują niezależnie od tego, jakie mamy poglądy.

Papież Jan Paweł II 5.II.1995r w ONZ w Nowym Jorku powiedział „Podstawowy problem, jaki dzisiaj musimy podjąć, to problem odpowiedzialnego korzystania z wolności, zarówno w wymiarze osobistym jak społecznym. Wolność nie jest po prostu brakiem tyrańskiej władzy i ucisku, nie oznacza też swobody czynienia wszystkiego na co ma się ochotę. Wolność ma swoją wewnętrzną „logikę”, która ją określa i uszlachetnia, jest podporządkowana prawdziwej rzeczywistości w poszukiwaniu prawdy.

Oderwana od prawdy o człowieku, wolność wyraża się w życiu indywidualnym w samowolę, a w życiu politycznym w przemoc silniejszego i w arogancję władzy. Ostatni hrabia - Edward Raczyński powiedział: „Wyzwolenie musi przyjść od wewnątrz... nie zmarnujcie niepodległości...”

A ja powiem:

Polska to moja ojczyzna. Cieszę się, że jest niepodległym krajem w zjednoczonej Europie. Europie bez granic.

Urszula Pala

Lucjan Bielas

Ornontowice to przede wszystkim moja mama

Ks Lucjan Bielas

ur. 10.09.1952 r. Jaworzno

Emerytowany wykładowca Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II

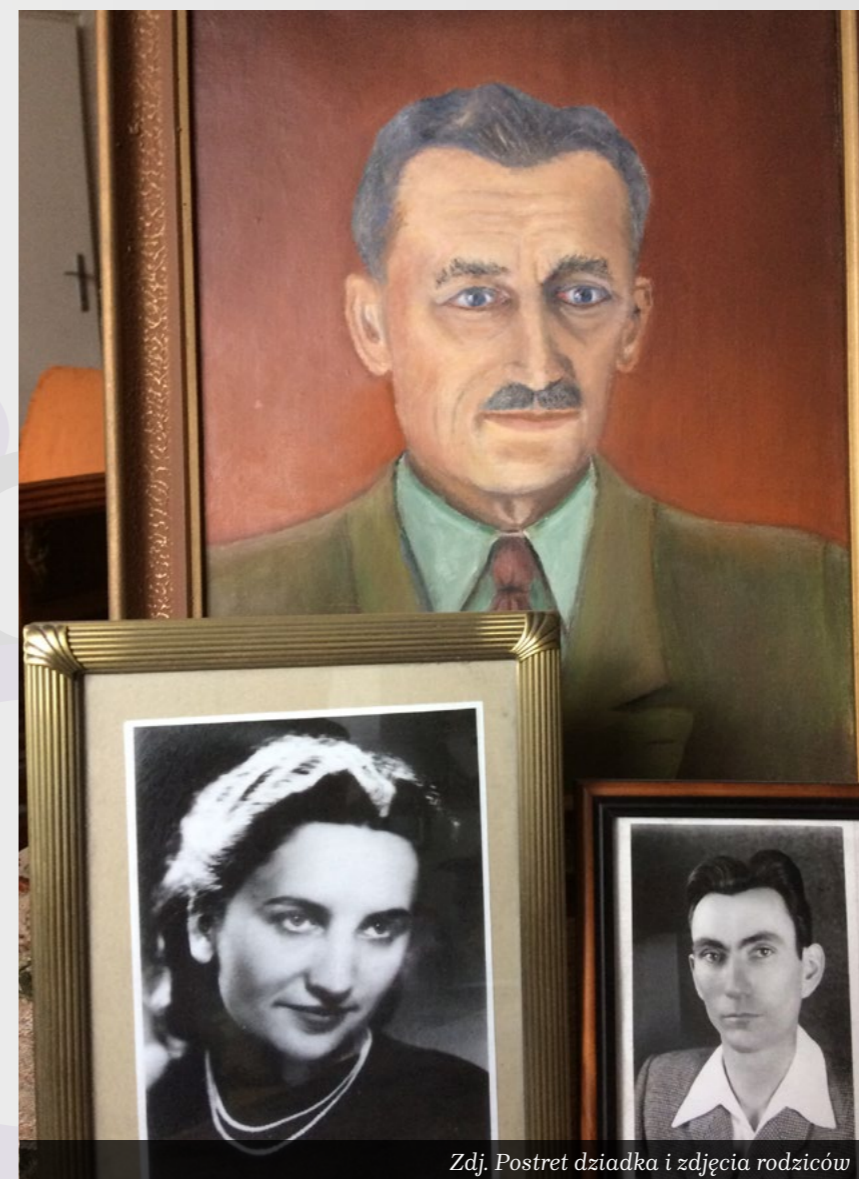
Ojciec duchowy Ogólnopolskiego Seminarium dla Starszych Kandydatów do Świąceń



zdj. ks. Lucjan Bielas

- To jakby ksiądz mógł powiedzieć jakie ma wspomnienia związane z Ornontowicami, takie zupełnie z dzieciństwa, bo rozumiem, że z mamą przyjeżdżaliście do Ornontowic.

Dla mnie ten wątek ornontowicki to przede wszystkim... mama moja, która do Jaworzna przyjechała na zupełnie obcy teren. Ten mój przyjazd do Ornontowic, to było wydarzenie, to było coś na co się ogromnie cieszyłem, to był świat, który no, powiedzmy sobie, dla mnie to była przestrzeń fantastyczna, wymarzona, gdzie całe gospodarstwo rolne, atmosfera domu u dziadka. Dom który był takim, klasycznym domem, to było: Pan Bóg, był dziadek, potem dłuuuugo, długo nic, a potem reszta świata. Z tym że ten dziadek, który dla mnie odgrywał zawsze ogromną rolę, to była niesamowita postać. Mama go scharakteryzowała bardzo celnie – to nie był łatwy człowiek, bardzo trudny, ostry, taki się nic nie załatwiło, darmo było szukanie fajki i mycki – ale ten dziadek tam niewątpliwie w tym wszystkim dominował. I ja jako dziecko czułem się tam niezmiernie bezpieczny. Mama powiedziała o nim, że był to jedyny mężczyzna, przy którym ona się czuła bezpiecznie, prosty tekst mojej mamy. To jest cała istota tej sprawy, to jest to co dzisiaj facetom brakuje. Dziadek nie mówił brzydtko, nie używał wulgaryzmów, bo to nie było w jego stylu. Dziadek nie znał takich brzydkich pojęć jak „boję się”, „nie umiem”, „nie potrafię”, „nie mam czasu”, „to jest niemożliwe”. I może byśmy tak popatrzeli na to – dziadek skąd on to wszystko miał? On miał to stąd, że to był człowiek który, jak ja go poznałem, który był niesłuchanie, no zawsze był związany z Kościołem, ale on wtedy już mógł być codziennie na Mszy Świętej, ponieważ był przez chyba siedemnaście lat kościelnym, po swoim teściu, który był 50 lat kościelnym. Stary Mikusz (kościelny) i ta rodzina była bardzo blisko Kościoła, i też wuj był organistą, wujek Janek Kotyczka, gdzie ten Kościół był blisko i ten dziadek był w tym kościele regularnie na tej Mszy Świętej i ja go widziałem po prostu tam. Tam jakoś ta pobożność do mnie dotarła poprzez właśnie tą atmosferę Ornontowic. Oczywiście



Zdj. Postret dziadka i zdjęcia rodziców

się ten tam dom rozwijał. I ta cichutka babcia w tym wszystkim, którą on niezmiernie kochał, szanował i tu by można było mnożyć opowieści, które tam potem ja od mamy słyszałem, z jednej strony ostrość tego męża, a z drugiej strony też ta Małgorzata była, on dla tej Małgorzaty był taki klasyczny śląski chłop w tym wszystkim.

No ale idąc jeszcze dalej, to co w takim życiu codziennym mi imponowało – dziadek jak się modlił to był całkowicie przy modlitwie, jego postawa w tym kościele, ręce złożone, skupienie pełne; jak dziadek pracował to był całkowicie przy pracy, to było takie zaangażowanie w pracę, po prostu aż musiał się zgrzać, **durs**⁴ on durś, to wszystko było takie, na 100% – modlił się na 100%, pracował na 100%, ale jak jadł, to jadł na 100%. Znowu te posiłki dziadka, a więc to jak on ten tyj uwarzony, złożył tam pod blachą, te warzanie **tyju**⁵ potem, z tej **zegródki**⁶, bo to wszystko musiało być swoje, te tomaty, ten **szalot**⁷, ten **wuszt**⁸, ten ostry nóż, ta deska i te **sznitki**⁹ i to jak się przed jedzeniem modlił, to był całkowicie przy modlitwie, jak potem siadał do jedzenia był całkowicie przy jedzeniu i obojętnie, ile człowiek był najedzony wcześniej, jak patrzył na jedzącego dziadka, to się brał do jedzenia, jak się patrzył na dziadka modlącego się to się brało za modlitwę, jak się widziało dziadka pracującego, to się brało za robotę. I dla mnie jako dziecka to było. To była prostota, tam się czułem po prostu. Ja to wylapywałem, dla mnie każdy szczegół był ważny. I to co było niesamowite, to było to, że to było. Człowiek tam dorastał i jeździł cały czas, ja potem od 14 roku życia do końca studiów, byłem tam w wakacje. Ja w pewnym momencie dokonałem świadomego wyboru, nie ja wolę wakacje w Ornontowicach, na wsi, na **gnojoku**¹⁰, uczyć się kosić, być w tym gronie kuzynów i przede wszystkim ten mit tego dziadka.

tutej¹ jest też rola mamy, która w tym wszystkim wyrosła, ale jakoś dla mnie to wydarzenie „Ornontowice” to głównie była ta pobożność, ten modlący się dziadek, te Msze Święte, ten kościół. Jeszcze w tym starym wymalowaniu tego kościoła i to było to...

Ja urzędowałem dużo w łóżku dziadka, dlatego że jak ja tam spałem, na tych Górkach, to właśnie dziadek mnie wpuszczał do swojego łóżka, a sam szedł spać na balkon, bo on spał na balkonie w lecie, miał taki specjalny balkon, z takim, taki odeskowany i tam miał połowe łóżko, skóry i na tych skórach spał dziadek, pod gołym niebem, a ja w jego łóżku, gdzie był krzyż, święty Izidor i obraz Ukoronowania Najświętszej Maryi Panny i **srank**², w którym była **luftbiksa**³ i lornetka i ten cały etos jeszcze myśliwego o dziadka i to wszystko tworzyło. Czyli ta pobożność tego człowieka i to co tworzyło ten dom, dom człowieka ostrego, który dawał poczucie bezpieczeństwa i ja jako dziecko, ja się tam świe nie plasowałem, ja się dziadka nie bałem, ja miałem ogromny szacunek dla dziadka, mnie on imponował. Tak wyrastałem, jak

1. tutaj – tutaj, 2. srank – szafa, 3. luftbiksa – wiatrówka, 4. durś – ciągłe, 5. ważanie tyju – zaparzanie herbaty, 6. zegródki – ogród, 7. szalot – salata, 8. wuszt – kielbasa, 9. sznitki – kromki chleba, 10. gnojoku – obornik, miejsce na obornik, 11. pociepać – zostawić, 12. pomożej – pomóc, pomagać, 13. potym

- A jakie słowa, które z tamtego czasu książkę pamięta?

Z tego czasu obrazu Anioł Pański, mama tą kopię namalowała sobie dlatego, że Anioł Pański to była modlitwa, która tam była, w tą wieś wpisana, bo jak był Anioł Pański. To stara, czapkę zdjąć, **pociepaci**¹¹ wszystko i koniec – modlitwa, Anioł Pański, bardzo jasna sprawa. A więc, i tutaj ktokolwiek przeszedł to było „Szczęść Boże!”. Starzy na to niezmiernie kładli duży nacisk, „Szczęść Boże”, „Dej Panie Boże”, „Boże **pomogęj**!”¹² to było to co... i to tworzyło wtedy tą rzeczywistość. Ja siłę tego odkryłem paradoksalnie. **potym**¹² w Bawarii. Cały dialekt Bawarii jest związany z Panem Bogiem i Bawaria dzisiaj, która walczy o swoją tożsamość w napływie Islamu, i która nakazuje dzisiaj, na urządach wszystkich musi być krzyż, rozporządzenie teraz Rządu Regionalnego Bawarii, bo oni, i oni kultywują tam dialekt, właśnie z tym co jest związane z Panem Bogiem. I to było w **godce**¹³ śląskiej mocno zakorzenione. Natomiast później, te wszystkie dalsze tutaj perturbacje, które nastąpiły to tak... Jeżeli ta codzienność również przez słowo jest związana z Panem Bogiem to ona, to nawet jak się ludziom nie raz to życie pokręci to cały czas gdzieś się przypomina, gdzie jest właściwy kierunek, i to tutaj z tego dzieciństwa mi też tutaj bardzo utkwilo. Tak to było proste. Teraz na to jeszcze patrzę poprzez moje doświadczenia.

Następna rzecz, która też była bardzo istotna, ten rytm życia. Ja mam go również wpisany, i to się przełożyło oczywiście na nasz dom, mianowicie świętowanie. To jest ważne ponieważ wolność jest rozeznawana i dzisiaj mówię to po patrzeniu w czasie studiów historycznych na problem wolności i niewolnictwa, jest rozpoznawania przez świętowanie. Jeżeli ktoś jest wolny, umie świętować, niewolnik tylko pracuje. I świętowanie było wpisane w gospodarstwo dziadka. To było do tego stopnia, że świętowanie rozpoczynało się od soboty, a więc zamiatanie placu, mycie, sprzątanie, pieczenie warzenia. Już wieczorem, w sobota to już czuć było niedzielę, inny dzień. I potem wszystko elegancko ubrane w niedzielę do kościoła i to było tak... to było udanie się do kościoła, to było świętowanie w kościele, Eucharystia, powrót i potem chłopaki, tam za stodołą było strzelanie z luftbiksy, ze starzykiem oczywiście. No bo po wojnie ci mogli mieć broń, którzy należeli do partii, dziadek nie należał



Zdj. Starzik – Johan/Jan Adamczyk

do partii, więc nie mógł mieć broni, ale wiatrówkę, czyli luftbiksę, mógł mieć. A to było, no strzelanie to było jego, klimaty i on nas tym pozarażał, więc ja też tutaj mam cały zbiór wiatrówek, luftbiks bo od dzieciństwa to było coś co weszło nam w krew. Potem obiad klasyczny, śląski, taki jaki miał być, to wiadomo... i to właśnie wszystko z najlepszej półki, taki uroczysty obiad, niedzielny obiad i tyn kafejek i ten... i potem po prostu się szło na Nieszpory. Piętnasta godzina – Nieszpory. I tutaj znowu moje dzieciństwo. Ponieważ wujek grał na organach, i on to robił z pasją, i na tym chórze można było być z tego powodu. Widzieć z góry ten kościół podzielony na dwie części, mężczyźni-kobiety. Pełen kościół, i ten śpiew na chóry, w tej śląskiej dyscyplinie i prawie jak się z tego poziomu chóru patrzyło na ołtarz to nad tym, w tej absydzie było, obraz Pana Boga, Boga Ojca i ja wtedy się czułem jakbym był w niebie... To mi się tak wryło w moją świadomość, to doświadczenie religijne, że sobie potem mogłem być na wielu, wielu różnych uroczystościach, różnych, ale to doświadczenie mi zostało jako główne doświadczenie religijne, takiego, takiej obecności Pana Boga. I to, to jest coś ponad, te Nieszpory, ten śpiew tych ludzi, mężczyźni-kobiety i ten wizerunek Boga nad ołtarzem i to jest zupełnie inna rzeczywistość. To jest tak wdrukowane w moją głowę, że jak miałem jakieś wątpliwości, to ja wtedy wracam do tego wspomnienia, które się wgrało w moją głowę. I rzecz znamienita, że nie kościół w Jaworznie, ale kościół w Ornontowicach. Tam, to doświadczenie religijne. Ja to podkreślam, tak to wynikało właśnie z tej pobożności dziadka, z tego charakteru niedzieli, z tego wszystkiego. Co to się tutaj nakładało na to. I potem się szło, albo gdzieś z dziadkiem, albo do lasu, albo był park, nie raz były tam jakieś festyny, **tancdela**¹⁵ Wujek Janek mieszkał na organistówe, z ciocią Heleną i tam z tymi młodymi Kotyczkami, ta atmosfera tej organistówki. A potem wieczorem albumy i wspomnienia dziadka. Pamiętam ten jego spracowany palec, te zdjęcia i tak... „Ten poległ w czasie pierwszej wojny światowej, ten poległ, ten padł, ten nie żyje, ten robił to, ten robił tamto...”. Ale najczęściej było: „Ten poległ, ten...” i ci młodzi ludzie, elegancko ubrani, tam w tych różnych okazjach, stowarzyszeniach, takie czy inne uroczystości, wesela, śluby i to po prostu, i ten palec tego dziadka i to wspomnienie tych... Dla niego to było cały czas żywe. Dzięki starzykowi zobaczyłem piękno gospodarstwa rolnego, tak jak zobaczyłem również piękno budowy. Nie było wulgaryzmu na budowie, nie słyszałem żeby tam ktoś na budowie coś niewłaściwego powiedział... Żarty na budowie: „Johan! Widziałeś tam na tym kominie takiego tego **koprucha**!”¹⁶ – Żech nie **widzioł**!”¹⁷ wiesz, ale **slysolech**!”¹⁸ jak **tupoł**!”¹⁹ no nie...”, w tym stylu, wesoło. I oczywiście w przerwie „**ringowanie**”²⁰. To jest zupełnie rzecz, która wtedy była, miała miejsce, to musiało przyjść z Niemiec bo ja to spotkałem w Tyrolu, tego typu rzeczy. Chodziło o to tam, kto kogo położy na łopatki. Krąg i dwóch mężczyzn, kto kogo położy na łopatki. No to kto kogo **pociepnie**!”²¹ I chyba mojego dziadka pierwszy raz położyłem na łopatki jak miał 65 lat. Człowiek, który miał taki uścisk, jak już kogoś chwycił za kark, to już było po ptokach, no nie.

Ja pamiętam jako dziecko, jak wziął do ręki- starszy człowiek - pyrlik, chwycił go za koniec tego **sztyla**”²², na wyciągniętej ręce potrafił go tak postawić do pionu, to musiał ten młot przejść w górę. No i to świętowanie, to ja powiedziałem ono, na niedzielę się cieszyło, niedziela była takim właśnie, tą przestrzenią ogromnej wolności i takiej jedności z Panem Bogiem, takiego tego doświadczenia religijnego, tego doświadczenia domowego, inaczej wszystko ubrane, elegancko ubrane, człowiek się musiał inaczej ubrać, nie tak jak się na co dzień pracowało, to wszystko tworzy pewną, pewną mentalność.

- A możemy powiedzieć jego imię? Bo nie padło ani razu...

Jan, Johan... To takie wydarzenie, które mama wspominała też z młodości dziadka, on chodził na polowania no i wracał nieraz późno i tam w tej chatce gdzie oni mieszkali, drzwi wejściowe i tam był taki skobelek, on sobie to tam tak zmajstrował, żeby po cichu ten skobelek tam podnieść i wejść bez hałasu w środku nocy, żeby nie budzić. Ale kiedyś ktoś z rodzeństwa zrobił mu na złość i ten skobelek tam tak zahaczył, że on go nie mógł... no i Johan wszedł z drzwiami i z futryną. I wszyscy potem wiedzieli, że Johan wejdzie.

- A jeszcze książkę pięknie opowiadał o mamie, o tym jej wykształceniu, które wyniosła i z Ornontowic, potem w innych szkołach, bo poza tymi relacjami, zwyczajami, które wyniosła z Ornontowic?

Mama to była mistrzynią świata w oszczędzaniu, tata nie był na bazie, nie był po linii? Miała niewiele w sumie środków prawda, ale była księgową, wiedziała jak ona ma tym zarządzać, była Ślązaczka, więc wiedziała jak należy oszczędzać, była kobietą i tutaj zachował się taki notesik mamy, gdzie z lat swojej młodości zapisywała właśnie różne ciekawe rzeczy, które ją piknęły, zarówno jej przemyślenia, jak i z literatury: „Być człowiekiem, być kobietą, być chrześcijaninem, być żoną, być matką” – pod tym kątem ona zbierała sobie cytaty. Na początku w języku niemieckim pisała, potem w języku polskim, ja to wszystko mam, to jest oprogramowanie mojej mamy i pamiętniki z dwudziestu pięciu lat ostatnich jej życia. Zbieranie książek w otwarciu na literaturę, a więc dzieła Sienkiewicza, Słowackiego, Mickiewicza, ta klasyka ona zawsze była w tym domu obecna, bo mama była na to wrażliwa, mama czytała, mama zawsze była

- później, 14. godce – mówieniu, 23. zomek – zamek, 24. ida - idę, 25. Hegerschaidtami – ród zamieszkujący niegdyś w Ornontowicach, 26. pado – mówi, 27. mosz – masz, 28. mom – mam, 29. prasnoł – uderzył, poklepał, 30. mosz szczyńście – masz szczęście, 31. krojok – ktoś kto ma pokrzyżowane korzenie, trochę śląskie



Zdj. Młody Lucjan ze starzikiem

zainteresowana życiem tych wyższych sfer. A więc rody panujące, książęce, dynastie, takie po prostu... i to wszystko było związane z tym **zomkiem**²³. Ten zomek, **ida**²⁴ do tego zomku, bo to właśnie jej tam, ona była ponad tymi **Hegenschaidtami**²⁵, ona weszła gdzieś tam. To jest ważne dla ludzi, żeby widzieli jakąś jeszcze poprzeczkę wyżej, przynajmniej jeśli chodzi o takie, no powiedzmy sobie zachowanie, kulturę, ogładę, dom. I mama zbierała przez całe swoje życie wszystkie możliwe wycinki z gazet, na temat rodów panujących. Zostały zrobione przez nią odpowiednie skoroszyty, wszystko było z taką śląską precyzją, poukładane, zachowane, a ona miała w tym wszystkim tak nieprawdopodobną biegłość – gdzie, co, kto, z kim. I to było pokłosie tego zomku. Te dwie wieże, ten zomek, Anioł Pański, to wszystko nas kształtowało i ta mama, pobo na kobieta, Ślązaczka, która się potrafiła przebić z tym wszystkim co wyniosła i może dzięki temu co wyniosła z rzeczywistości trudnej, innego zaboru bo mnie z dzieciństwa zostało właśnie tam te pola, ten pas zieleni, wieża kościoła i wieża zomku i to wykształcenie i jeszcze gra w teatrze ornontowickim to nieraz uratowało jej życie. Tu, w tym środkowym pokoju pamiętam jak dziś, na trzy tygodnie przed śmiercią mama moja pyta się mnie: „Synu z jakiej wady mam się jeszcze poprawić?”, tu, to było w tamtym miejscu. Myślałem, że ja padnę... I kalendarze, i pierwszszepiątki, SP, SP, SP – spowiedź, ja tak robię

po dzień dzisiejszy. I te różańce, i te książeczki do nabożeństwa. Wszystko się tutaj zająbia i ta mama, która była zaangażowana w to życie.

Moja mama i moja ciotka, siostra mamy to takie dwie kobiety, które mi pokazały w ogóle jeśli idzie o bycie kobietą, szacunek dla ciała kobiety. To co dla mamy było też bardzo ważne, to było ostatnie słowo przed śmiercią to było słowo „dom”, bo dla niej dom, i to też wyszło z Ornontowic – dom, to było oczywiście przede wszystkim relacje, tata, ja, ona, ale też i ta rzeczywistość tego domu, mama przed śmiercią ten dom dokładnie wysprzątała. Ona nadała temu domu taką atmosferę, która jest pielęgnowana po dzień dzisiejszy, przez urządzenie tego domu, przez urządzenie ogrodu, przez... to było to co ona wyniosła z domu, a tutaj potem to przełożyła. A ja pomogłem teraz w założeniu stowarzyszenia Architektów Katolickich, bo chodzi o to, żeby pomóc ludziom w budowaniu sensownych domów. I ta przestrzeń drzwi wejściowych, przestrzeń przedpokoju, przestrzeń pieca, stołu, łóżka, przestrzenie tworzą relacje.

- **Niby można powiedzieć, że Ornontowice mała wioska... gdzieś tam, na przestrzeni, a jakie niezwykle miejsce, które potem powoduje, że...**

Dlatego ja się wpisuję, to jest tak jak kiedyś przyjechał mój kuzyn, Grzegorz Kotyczka, po mnie tutaj i przejeżdżamy przez Przemszą i on **pado**²⁶: „A paszport **mosz**²⁷?”, Ja mówię: „Ty, jo **mom**²⁸ podwójne obywatelstwo!” i **prasno!**²⁹ go?: „Je, mosz **szczyńście**³⁰...”. I to jest właśnie **krojczok**³¹. Ja się tu czuję u siebie, ja się na rynku w Krakowie czuję u siebie, w Jaworznie się czuję u siebie, na Śląsku się czuję u siebie, w Pawelniu? się czuję u siebie, w Wiedniu się czuję u siebie... ja jestem u siebie.

- **A w Ornontowicach?**

W Ornontowicach, to samo! I to nie jest tak, że tam przyjeżdżam gdzieś, nie wiadomo co, jestem po prostu poprzez to, że mama i ten dziadek, i te wspomnienia, i ta praca tam, to wszystko, to tu po prostu tak to wygląda.

- **Bardzo dziękuję!**

Rozmawiała:
Aleksandra Malczyk

Maksymilian Chrobok

... z dzieciństwa zapamiętałem Ochronkę.

ur. 19.09.1929 r. Ornontowice
KWK Bobrek – osoba dozoru wyższego



Zdj. Pan Maksymilian Chrobok

- **Panie Maksymilianie, jeśli Pan pozwoli zaczniemy wywiad od czasów Pana dzieciństwa. W co się bawiliście jako dzieci?**

W latach mojego dzieciństwa to rowerów dla dzieci nie było, jedynie hulajnogi, które mało kto posiadał. Ze względu na koszt hulajnoga uważana była za luksus. Za to była z rowerem ta obręcz, bez szprych i bez dętek, wie pani, to patyczkiem się jechało i to było takie kulane kółko, to była jedna z zabaw. Później były bąki malutkie – od spodu miał metalowy pręcik i się nawijało sznurek na niego, i taki biczyk, i się rozpędziło, i to się rozwinęło, i ten bąk przekreślił później, a biczyk ze sznurkiem pani miała w ręku. I później można było nawet, jak ktoś potrafił, to jeszcze popędził i nadal się ten bączek kręcił.

- **Co z takich słodkości, z takich łakoci, mieliście w tamtych czasach?**

Z łakoci można było nabyć czekolady: „Wedla”, „Piasecki” i „Goplana” oraz różne odmiany cukierków z tych wytwórni. Oczywiście te słodkości kosztowały. Ci którzy nie mieli gotówki, nabywali tzw. słytki z landryn – 5 groszy dawka. Były tzw. kołoczki, tego teraz, tego luksusu nie ma już. O godzinie gdzieś wpół do szóstej rano, co dzień przychodziła pani, Białas się nazywała, i miała

tak jak Holendrzy, na troczku koszyczek i na plecach koszyczek, i miała z góry zamówione jeden, dwa, tyle ile ich potrafiła unieść – chleby, bułki, małe bułeczki i kołoczki. Wie pani to są te drożdżówki. Kogo było stać, kto miał pieniądze, to zamówił. Ona rano pod domem, bo od domu do domu szła, tam gdzie były zamówienia, ona wiedziała gdzie iść, i wołała: „Po chleby, po bułki, po żymły, po kołoczki!”. Tego po tych latach się nie powtórzy, a to był komfort wielki, do domu dostawa, do domu w czas rano, czyli ci co szli do pracy, mogli sobie świeże pieczywo kupić albo kołoczki, (który dziecko dostawało idąc do ochronki).

- **Co pan najbardziej zapamiętał z tamtych czasów, z dzieciństwa - czy szkołę, czy raczej to co robiliście?**

Najbardziej z dzieciństwa zapamiętałem Ochronkę. Chociaż w moich latach dzieciennych nie istniała nazwa „ochronka”, ani przedszkole, tylko „Szkółka”.

- Ochronkę? A dlaczego ochronkę?

To był start taki, nie bo to było w trzydziestym...miałem 6 lat...5 lat i to pamiętam jeszcze dokładnie, bo miałem lat 5, dwa lata chodziłem do ochronki, do sióstr, do klasztoru. No i później jak miałem 7 lat, no to wstąpiłem do pierwszej klasy szkoły powszechnej.

Do „szkółki” to żeśmy chodzili właściwie; w tej chwili dowożą dzieci swoje samochodami, ze względu na bezpieczeństwo, a dawniej na przykład samochodu nie było żadnego w Ornontowicach, drogi były szutrowe, nawet dzisiejsze samochody by po nich jeździć za bardzo nie mogły, bo to by nie było w stanie. Co godzinę czy co dwie to się pojawiała jakaś furmana, czyli było, można powiedzieć, pełne bezpieczeństwo.

- Czyli sami chodziliście mając 5-6 lat? Nikt Was nie odprowadzał?

Sami. Nie, nikt nie odprowadzał, to było można iść do klasztoru, tam siostra nas uczyła te dwa lata, siostra o imieniu Salomea. I były tylko trzy siostry. Była siostra do nas, do nauki, do prowadzenia ochronki, jako niby nauczycielka, coś w tym sensie; druga siostra była jako gospodyni, czyli dbała o budynek, dbała o ogród przyklasztorny, taki niewielki, na warzywa, na takie swoje rzeczy i no, i gotowała wyżywienie dla tych trzech sióstr; a trzecia siostra to była zakrystianka, czyli ona, bo nie było kwiaciarki, to ona dekorowała, to co w tej chwili robi kwiaciarka, czy nawet jakieś firmy przed ślubami, przed uroczystościami, to ta siostra zakrystianka robiła. Ona też chyba prała, prasowała, krochmaliła, wszystkie te potrzebne rzeczy w kościele przygotowywała. To były trzy.

- Jakoś specjalnie się ubieraliście do tej szkółki – ochronki?

W okresie letnim wszyscy chodzili na bosaka. Dzieci, przypuśćmy z tych biednych rodzin, że tak powiem, od tych bezrobotnych, jak się skończył sezon, czyli późny wrzesień, październik i już były chłody, to już na bosaka, a butów nie miały. To były takie przypadki, że żeśmy robili zbiórkę, po 50 groszy, po złotówce, bo dziecięce buty kosztowały 8-9 złotych na targu, no to się uzbierało.

[...]

(No to mama mówi...)Wełnę można było kupić wełnę w sklepie, różne kolory, tego było pod dostatkiem w domu i na drutach robili. To mama ciach za jeden dzień jedna pończocha, za drugi dzień druga pończocha. „Masz pończochy, tu masz złotówkę, jak będziecie robili składkę na buty.” No to się tak robiło i były pieniądze na buty, i rodzice porobili pończochy, się zaniósł, żeby mogły dzieci chodzić do szkoły. I chodziły. Czyli istniał tzw. koleżeński „Caritas”.

Myśmy mieli wszyscy na takim skórzanym paseczku skórzane torebki, to miał każdy, prawie każdy. I tam kromeczki chleba z masłem, w torebce. A nam siostry przynosiły o godzinie jedenastej mleko. Była rama i były nasze kubki po nazwisku przywieszzone. I o jedenastej ktoś dostarczył mleko, ale ja nie wiem, kto to fundował. Opłata była 1 zł na miesiąc, symboliczna, za to chyba nie dało rady kupić, każdy dzień taki gar mleka pełnowartościowego. Chyba z majątku od Hegenshaita to było, albo od któregoś gospodarza. Czy to siostry załatwiały, czy gmina, tego to nie wiem, ale przynosiły... U siostry się to gotowało na piecu, u tej gospodyni i przynosiła do ochronki, i wtenczas na posiłki, każdy tę kromeczkę wyciągał, i żeśmy jedli. Ale to znów jak jedne dzieci były takie, że nie miały nic, ani kromeczki chleba to się trzeba było podzielić. Potem był podział. Te kubki myła siostra, ta gosposia, i po nazwiskach-ja nie wiem jak to było pocechowane -wieszala na tą ramę, a ten garnek sprzątnęła.

[...]

No i chodziłem pierwsza, druga i trzecia klasa do szkoły powszechnej, tu w miejscowej, w Ornontowicach. I była tak zwana „nowa szkoła”, która w czasie frontu w czterdziestym piątym roku spłonęła i pozostała ta stara szkoła. Do „nowej szkoły” chodziły klasy od pierwszej do czwartej, a te starsze roczniki, czyli piąta klasa, szósta i siódma chodziły do starej szkoły, ta, która dwa lata temu wyburzona została. W starej szkole uczyli przeważnie nauczyciele, pan Jankowski Kazimierz, pan Izdebski Leon i pan kierownik szkoły Rudolf Reczek i nauczyciel, głównie specjalista od matematyki, pan Szeroki. A tam przeważnie nauczycielki uczyły, w większości, do klasy tej piątej. Czyli taka młodzieżówka więcej, pierwsza, druga, trzecia, czwarta, piąta. I tu uczyła pani Jałowiecka, pani Kudlińska, pani Orzechowska, pani Michalska, pani Cichoniówna. Czyli z tych lat po wybuchu drugiej wojny światowej to ukończyłem trzy klasy w Ornontowicach. Nie było ani pisanie atramentem, tylko wszystko na tabliczkach, tych, tym rysikiem. Z jednej strony były krateszki do rachunków, z drugiej strony były linijki do pisania, i ściereczka i gumka do wycierania. Na ławkach były kałamarze, ale to tylko od czwartej, od piątej klasy dopiero mieli piórniki i w piórnikach obsadki i piórka, które się maczało atramentem, bo nie było takich rzeczy jak to później nastąpiło – długopisy, czy tam te nowoczesności wszystkie.

Jak się skończyło szkołę podstawową - w moim przypadku w 1943 roku, to była klasa 7 – to obowiązkowo trzeba się było zgłosić w ciągu 14 dni do tzw. Pośrednictwa Pracy w Mikołowie i przedstawić umowę

zawartą z rzemieślnikiem na 3 letnią naukę w zawodzie, według wyboru i zainteresowania. Był to okres okupacji. Do nauki uczniów mogli przyjmować tylko rzemieślnicy, do tego upoważnieni przez władzę. W Łaziskach Górnych istniało 5 kopalń węgla kamiennego: „Kopalnia Brada”, „Kopalnia Książątka”, „Kopalnia Walska”, „Kop Wiry” i „Kopalnia Kamienica”. Przy kopalni „Brada” istniał zakład uczniowski pod nazwą „LEHRWERKSZAT”, przygotowujący młodzież w zawodzie: górnik, mechanik, elektryk lub cieśla górniczy. Szkoły średnie czyli gimnazja istniały w tamtych latach w naszej okolicy tylko trzy, tj. w Mikołowie, Żorach i Katowicach. Dostępne tylko dla uprzywilejowanych. Myśmy byli bez szans!

Nadszedł pod koniec stycznia 1945, front wojenny. Część budynków tego Zakładu uległa całkowitemu zniszczeniu, łącznie z naszymi dokumentami. W czerwcu 1945, czyli po zakończeniu II wojny światowej, musieliśmy w trójkę kolegów, jechać do Katowic, aby ukończyć rozpoczęty kurs nauki w zawodzie mechanik. Był uruchomiony taki Zakład w Załężu i uczęszczaliśmy do Średniej Szkoły Zawodowej w Katowicach, przy ulicy Szkolnej. W lipcu 1947 roku zdawaliśmy egzamin czeladniczy w zawodzie mechanik, w Izbie Rzemieślniczej w Katowicach i byliśmy absolwentami średniej szkoły zawodowej. Wówczas równoznacznej z Gimnazjum Męskim, które uprawniało do przystąpienia do dwu letniego Technikum Mechanicznego. Tak postąpiłem i w czerwcu 1952 zdałem egzamin dojrzałości i uzyskałem tytuł Technik Mechanik z prawem wstąpienia na wyższą uczelnię. W roku 1952 podjąłem pracę w Kopalni Węgla Kamiennego, jako pracownik dołowy w charakterze osoby dozoru. Przystąpiłem jeszcze na studia zaoczne w Politechnice, jednak ze względów zdrowotnych po 2 latach zrezygnowałem z nauki. W kopalni przepracowałem 33 lata, do czasu odejścia na emeryturę.

- A jeśli chodzi o kopalnie i Ornontowice?

Ornontowice, od zarania podporządkowane były administracyjnie do powiatu pszczyńskiego. Ok. 1970 r. w PRL-u powstało wielkie zapotrzebowanie na węgiel kamienny, w ramach RWPG, którego centrum uruchomiono w Moskwie. Potrzebną na Śląsku siłę roboczą do pracy w kopalniach, werbowano z całej Polski. Władze postanowiły podzielić stosunkowo wielki Powiat Pszczyński i stworzyć Powiat Tyski. Tak postąpiono i miasto Tychy stało się sypialnią siły roboczej dla Śląska. W ten sposób Ornontowice znalazły się w obszarze Powiatu Tyskiego. W związku ze wzrostem zapotrzebowania na węgiel kamienny zaistniała potrzeba nowych kopalń, gdyż istniejące nie gwarantowały wzrostu wydobywania. Rejony do budowy nowych kopalń to rejon Rybnika później podzielony na Powiat Wodzisławski. W związku z taką sytuacją powołano do życia instytucję o nazwie Rybnicki Okręg Węglowy. W skrócie „ROW” i tam były zaplanowane do wykonania następujące kopalnie: Jastrzębie I, Jastrzębie II, Moszczenica, Pniówek, Zafiówka, Borynia, Żory, Krupiński, Baranowice, Morcinek oraz Budryk w Ornontowicach. Te kopalnie błyskawicznie budowano i uruchamiano. Jako ostatnia do wykonania była kopalnia „Budryk” w Ornontowicach. Pod budowę kopalni wydzielono 120 ha gruntu należnego do Państwowego Gospodarstwa Rolnego integralnego z Technikum Rolniczo-Hodowlanym w Ornontowicach. Ruszyły sprawy projektowania oraz siatka odwiertów geologiczno-badawczych do głębokości 2000 m od powierzchni gruntu. Odwierty prowadzone były z odzyskiem pełnych rdzeni, celem badania w laboratoriach jakości węgla oraz towarzyszących skałach, gazowości i zawodnienia. Ruszyła budowa kopalni „Budryk”... Pod koniec lat 70-tych nastąpił kryzys ekonomiczny gospodarczy w naszym kraju i zatrzymano budowę kopalni Żory, Baranowice i Budryk. Zlikwidowano instytucję ROW, a zatrzymaną budowę kopalni Budryk przekazano do sąsiedniej Kopalni Knurów, jako inwestycja zastępcza, zatrzymana do odwołania. Tymczasem w kraju kryzys się pogłębiał, odeszli od władzy Premier Jaroszewicz oraz pierwszy Sekretarz Gierek. Postępowały strajki. Powstał Związek Zawodowy „Solidarność”...

Nastąpiła reorganizacja administracji państwowej. Zlikwidowano powiaty, powstał tzw. Rejon Miasta Knurów i Ornontowice znalazły się w rejonie Gliwickim. No i myśmy wszystkich ludzi wie pani, księgi wieczyste, sprawy wojskowe WKR, służba zdrowia, oświata, nauczyciele, nominacje wszystko zaś przewalowali do Gliwic. No i taka kolejka losu Ornontowic... W międzyczasie żyliśmy w kryzysie ekonomicznym. Wprowadzone były kartki na wyroby mięsne, papierosy, wódkę, benzynę i inne towary. To był stan nagich haków w sklepach. Upadek całego systemu socjalizmu w naszym kraju. Jako ostatnia deska ratunku ogłoszono „stan wojenny” w całym kraju i aresztowano blisko 2000 osób uważanych jako element niepewny i niebezpieczny dla ustroju socjalistycznego. Po odwołaniu stanu wojennego, po jakimś półtora roku, zwolniono także więzionych, i zlikwidowano status kierowniczej roli partii w naszym kraju. Poza tym zlikwidowano na wszystkich szczeblach komitety partyjne PZPR od centralnego przez wojewódzkie, miejskie aż do zakładowych. Jednak dalej spokoju społecznego nie było, dlatego zorganizowano okrągły stół i nastąpił wstępny podział władzy i stopniowa normalizacja.

Wtedy powstało w kraju 16 województw, natomiast podział Regionów zmieniono ponownie na powiaty. W planach było dokończenie budowy Kopalni Budryk. Wtedy też nastąpiło zainteresowanie naszego społeczeństwa dlaczego Ornontowice mają być miejscowością satelitarną w gminie Gierałtowie. To teraz nie dosyć tego, Gierałtowie, wieś jak w wiele innych kościoł, kupa mieszkańców i koniec. A Ornontowice



Zdj. Państwo Chrobok

od '45 roku miały szkołę średnią rolniczą. Teraz obserwowaliśmy wszyscy, wszyscy ludzie obserwowali co się działo, jak Orzesze chciało, być na siłę miastem.

A u nas, Ornotnowice należały administracyjnie do Gierałtowic, taka, przypuśćmy, sesja rady to trwała 4-5 godzin, naszych tam radnych to nie wiem ilu tam było, 4 czy 5, bo tylu nam przypadło według mieszkańców. I tam Chudów swoje, Bujaków swoje, Ornotnowic swoje, a Gierałtowice – wielkie państwo swoje. No i to niezadowolenie się potęgowało, potęgowało. Mieliśmy szkołę średnią i już było prawie przesądzone, że będzie kopalnia, wielki zakład pracy, mieliśmy ze wszystkimi cudami, perełka, jak to niektórzy mówią: Hegenshaidta zamek, co jest ozdobą Ornotnowic, był i jest. Wiec dlatego Ornotnowic chcieli się usamodzielnąć ...

Zawiązał się tzw. Ornotnowicki Komitet Obywatelski i czynił staranie o usamodzielnienie się naszej miejscowości, co się skończyło sukcesem, z akcesem ówczesnego premiera - Pana Mazowieckiego. Jako uzasadnienie do uzyskania samodzielności uznano, że istnieje Kopalnia Budryk, a od 1945 roku szkoła średnia oraz wiele innych podmiotów w infrastrukturze.

- W naszym wywiadzie pojawiło się ważne dla Pana słowo samorządność, z czym się kojarzy Waszemu pokoleniu, samo słowo?

Samorządność, że jednak nie jakieś tam dyrektywy, wszystko tylko odgórne, albo co najmniejsze do załatwienia wewnątrz, interesujące czy potrzebujące daną społeczność, trzeba było mieć uzgodnienie z komitetu jakiegoś tam PZPR, powiatowego, miejskiego, egzekutywa tam to musiała, dopiero akceptować a teraz sprawy załatwia własny samorząd.

- Chcieliście samodzielnie decydować o tym?

Sami decydować o tym, najlepiej wiedzący co jest pilne, co jest ważne, co w jakiej kolejności robić, na co nas stać i na jakie mamy dochody, na co nas stać i co umieścić w budżecie do realizacji, co przegłosować na sesji tej, żeby później można to było realizować, bo to musiała mieć pokrycie finansowe w budżecie i jak nie miało pokrycia, to znów trzeba było wielkiego uzasadnienia szukać, żeby zaczerpnąć kredyt z czego, i kiedy, i z jakich źródeł będą pokryte odsetki, i kredytowe, i tak dalej...

- Czy pana zdaniem Ornotnowice, jako miejscowość, bardzo się zmieniły?

Tak ...

We wszystkich sferach jest wielki postęp..

Rozmawiała:
Aleksandra Malczyk

Ronald Winkler

Tu była artyleria przeciwlotnicza niedaleko, jak się wyjeżdża na ulicę Zamkową.

ur. 04.04.1930 r. Kochłowice

Mgr inż. zootechnik, nauczyciel w technikum
Hodowca róż, ogrodnik

- Jakby mógł Pan opowiedzieć o swoim dzieciństwie i młodości.

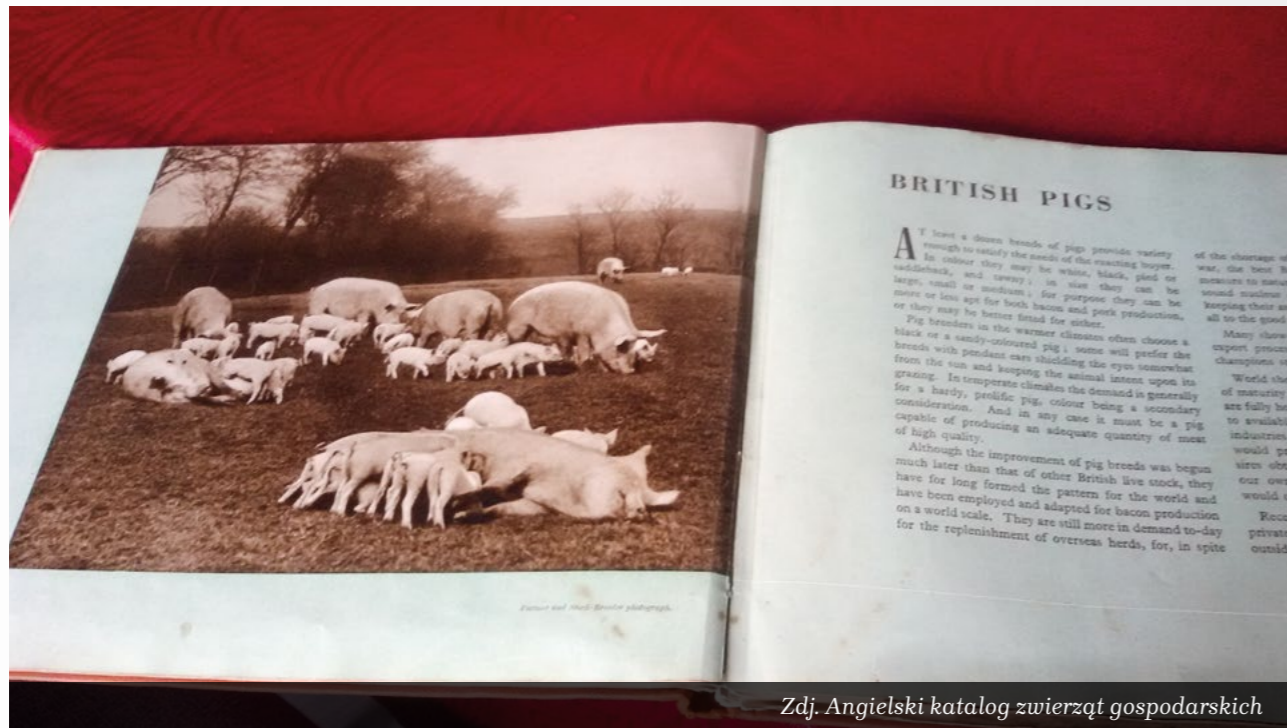
Ja się tu nie urodziłem. Ja się urodziłem w Rudzie Śląskiej, w Kochłowicach, a później się wychowywałem w Wirku. W Wirku mieliśmy duży ogród, ciekawy ogród. Mam zdjęcia, to był ogród trzypiętrowy. Na jednym piętrze były rośliny ozdobne, jakieś powiedzmy, metr dwadzieścia, niżej był sad, a dalej, znów poniżej półtora metra, były warzywa.

No więc przeżyłem '39 rok właśnie tam. Zajęliśmy taką willę, ona tam jeszcze w dalszym ciągu jest, i potężne piwnice, i jak w '39 zaczęła, się wojna to bardzo dużo ludzi musiało opuścić Bielszowice, także w naszej piwnicy było może pięć, sześć rodzin z Bielszowic. Tam była duża ilość młodzieży. Zawsze jak w radiu głosili „Czekolada, czekolada!”, to już wiedzieliśmy, że samoloty nadchodzą i wychodziliśmy na podwórze, a one nisko tak sobie latały. Tak przeżyliśmy tam, ten początek młodych lat. Z tego ogrodu ozdobnego coś zostało w tej głowie i dlatego zacząłem się tym interesować. Mam inne wykształcenie zupełnie, a to tak zwane hobby. To hobby jest do dziś, można powiedzieć. Z kolei, powiedzmy, w '44 zostałem przydzielony do gospodarstwa. Musiałem odrobić rok. Zostałem przydzielony do gospodarstwa dużego – 35 hektarów, za Nysą 18 km. Tam przeżyłem koniec wojny, bo stamtąd wyjechałem do domu dopiero w czerwcu '45 roku i tam poznałem rolnictwo. Na tym gospodarstwie był jeniec francuski, był jeniec rosyjski, był jeniec ukraiński, była nauczycielka z Rosji, no i ja. Także była taka międzynarodówka. Rosjanka wybitnie uzdolniona, takiej zdolnej osoby jeszcze w życiu nie spotkałem. Ona potrafiła język niemiecki opanować perfect. Do tego stopnia go opanowała, że jak była w środowisku Niemców, Niemki nie wiedziały, że to Rosjanka i nie zorientowały się. Ona miała ten sam wzrost co córka gospodarza, więc się wymieniały ciuchami i wtedy ona niczym się nie różniła. A dlaczego? Niemki to miały takie fartuchy i takie kieszonki, ona też miała ten fartuch i w tej kieszonce miała zapisany rozkład godzin języka niemieckiego w szkole podstawowej. Do szkoły podstawowej może było 2 minuty drogi. Ona tą robotę sobie tak ułożyła, że jak była jakaś godzina, tam w starszych klasach, to ona szybko odskoczyła, gospodarz dał jej zezwolenie i mogła wejść do klasy słuchać, uczyć się i tak dalej. Oni wszyscy dostali się pod niewolę, i mieli mniej niż 20 lat i oni takich nie dali do łagrów, tylko do gospodarstwa.

Rosjanin był wybitnie - no zdolny jak zdolny - ale inteligentny, miał tak zwaną inteligencję wrodzoną. On tego Ukraińca, który był strasznie nerwowy, bo nie wiadomo co on tam przeżył, tego nie pamiętam, uspokajał i tak dalej. Natomiast Francuz był gospodarzem we Francji. Uzdolniony pod każdym względem, potrafił wszystkie maszyny naprawić, potrafił zrobić drabinę, potrafił zrobić grabie i wszystko zrobić. Taki miał talent. Chodził w mundurach wyjściowych, bo oni otrzymali te mundury wyjściowe, i chociaż zbrudził, to na drugi dzień miał założony znów nowy. Regularnie



Zdj. Ronald Winkler



Zdj. Angielski katalog zwierząt gospodarskich

otrzymywał paczkę UNRRA – tj. Organizacja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy. Paczki “unrowskie” to nie były takie jak do nas przyszły po wojnie, tylko były takie luksusowe, papierosy tam były i czekolada tam była, i szynka. Także było ich w sumie w tej miejscowości 17, pod kontrolą jednego żołnierza niemieckiego bez jednej nogi, inwalidy wojennego, więc zadaniem tego Niemca było – nie dopuścić do tej willi cywila, żeby cywilny nie zauważył, jak oni się odżywiają, co mają na stole, żeby nie byli zazdrośni i tak dalej. Mnie się raz udało. Francuz mnie tam przeslizgnął się i widziałem to bogactwo tego jedzenia, to było dla mnie w tym wieku, no wiadomo... No więc to był Francuz, on otrzymywał chleb, powiedzmy, obłożony czymś jeszcze. Dziennie ja siedziałem obok, a tam była ławka, a myśmy mieli przydział, każdy dostawał kostkę masła, ale prawdziwe masło, a nie takie jak teraz, dzisiaj to masło ma 56%, potem mieliśmy syrop buraczany, fajna taka rzecz. Jak się przejechało trochę masłem, a potem ten syrop na chleb, to było bardzo smaczne. No i potem zawsze obfity obiad, mięso zawsze i tak dalej. Jak przyjechałem w czerwcu, to szukałem jakiejś szkoły, bo szkoły były już wszystkie czynne. Pod koniec czerwca 45’ znalazłem te Ornontowice, gdzie szkoła się organizowała.

- Jak wyglądała ta szkoła na początku, pałac bardzo się zmienił?

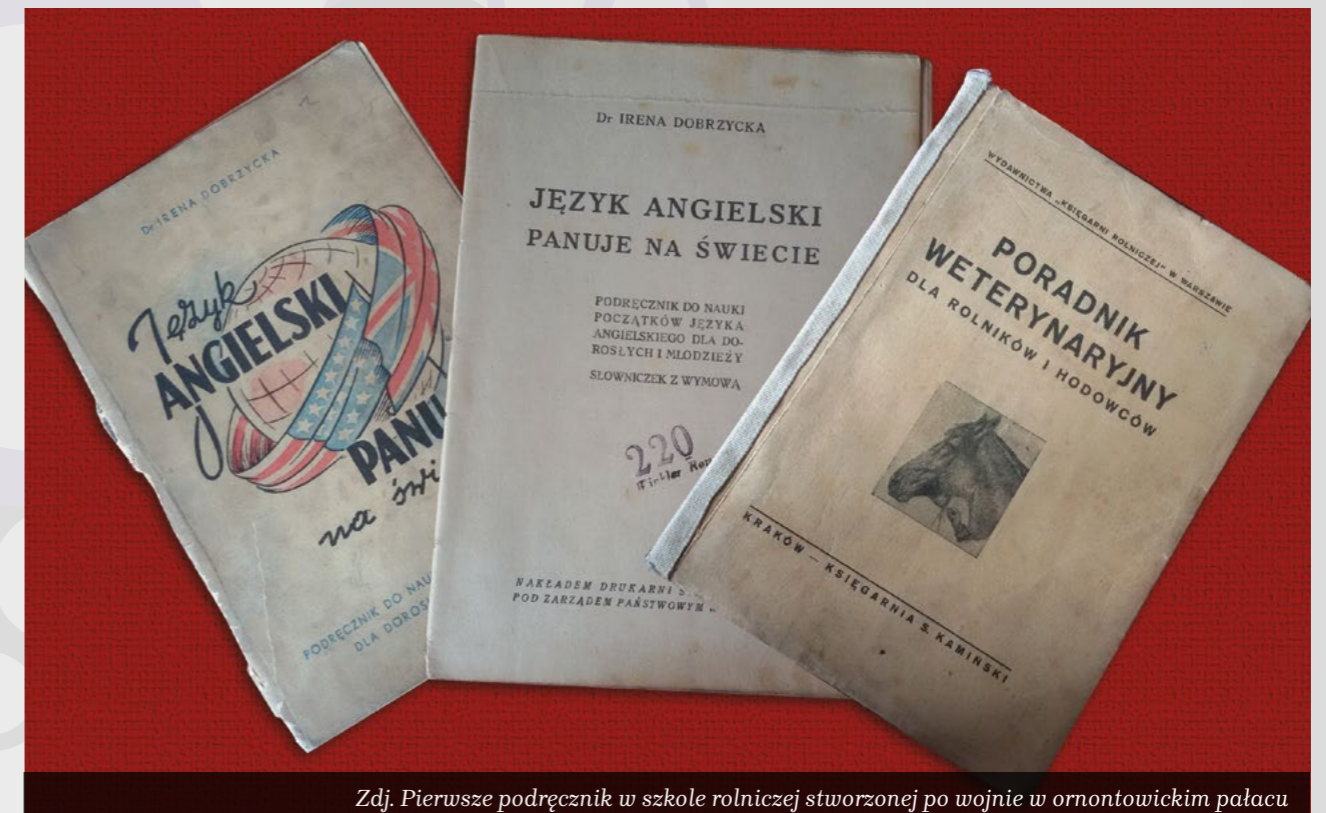
Pałac, pałac... Tu była artyleria przeciwlotnicza niedaleko, jak się wyjeżdża na ulicę Zamkową. Tam były strzały, takie dosyć poważne, że wszystkie szyby poszły. No wiadomo, jak takie targania to był zamek bez okien, bez szyb i później takie przystosowanie do szkoły. Trzeba było całą instalację zmienić i tak dalej, i remonty przeprowadzić. Materiałów nie było, bo to po wojnie, także w zasadzie mieszkaliśmy w internacie na pierwszym piętrze. W trzech pokojach, ale nie było tam w oknach szyb, to myśmy je były czym tam zatkali. Na podłodze się spało, początkowo podkładaliśmy, co mieliśmy, potem dostaliśmy sienniki, to do stodoły się szło i wypełniało się słomom. Dostaliśmy łyżkę i miskę początkowo, a potem po jakimś tam czasie widelec, a noża nie dostaliśmy, więc jak ktoś nie miał swojego to...

Jeśli chodzi o wyżywienie, każdy kto, chciał być w internacie, co miesiąc musiał dostarczyć półtora kilo słoniny, to w dokumentach i jest. I pieniądze także, mimo to, że codziennie były zajęcia, codziennie byliśmy wykorzystywani do pracy różnej, to trzeba było jeszcze półtora kilo słoniny. Było bardzo ciężko taką słoninę uzyskać.

Zajęcia praktyczne, codziennie, nie tak jak teraz. I soboty, i niedziele. Byliśmy podzieleni na tak zwane grupy robocze: uprawa, hodowlana, ogrodnicza, podwórzowa, internetowa i zawsze po obiedzie zajęcia, które miały rzekomo być tylko do 17:00, ale było zawsze tyle robót, że były do 18:00, do 19:00, i dopiero wtedy się odrabiała lekcje, jakaś kolacja tam była i tak dalej. Ta szkoła się organizowała na dosyć wysokim poziomie, dlatego że znalazł się tutaj na początku profesor Stroński. Piękną imię miał, nazywał się Fortunat. Był to starszy gość, profesor doktor Politechniki Lwowskiej. Został tutaj przyjęty i dostał na drugim piętrze mieszkanie z żoną, dwoma córkami starszymi i synem 16-letnim. Ten profesor Stroński to był jedyny pedagog w czerwcu, wrześniu, październiku 45 roku w tej szkole. Niektórzy nauczyciele skończyli studia w 39 lub 38, ale pracowali gdzieś w kieleckim czy krakowskim,

w administracji rolniczej, także pedagogicznych przygotowań żadnych, jedynie profesor Stroński. To był człowiek super, inteligentna rodzina, no super pod każdym względem i mnie się wydaje, że ja się bardzo dużo nauczyłem dzięki niemu. Ten człowiek bardzo dużo nam dał i bardzo dużo pomagał pod każdym względem. Na przykład zorganizował nam pierwszy jakiś podręcznik, bo byśmy nie mieli żadnych podręczników. On nam pierwsze książki załatwił, na przykład do języka angielskiego. Po znajomości z Poznania wprowadził nam książki. Ja wam pokażę to, nie jest tylko, że ja tak gadam, zaraz pokażę, jakie to były książki. To jest książka języka angielskiego „Język angielski panuje na świecie” i to zostało wydane w 45 roku, on załatwił nam tę książkę i ten napis jest ciekawy „angielski panuje na świecie”, jeszcze w 45 można było takie coś napisać, a potem było coraz gorzej. Później załatwił nam książkę, również zawodową. Miał w Krakowie znajomych, którzy mieli kontakt z jakąś drukarnią, która odtworzyła przedwojenny” Poradnik weterynaryjny dla rolników i hodowców” i on nam to sprowadził. Ta książka taka prymitywna, proszę zobaczyć, te brzegi nawet nie są obcięte, pewnie nie mieli tych narzędzi do tego. Piękna rzecz, to był nasz pierwszy podręcznik fachowy, który zorganizował Stroński, nie kto inny.

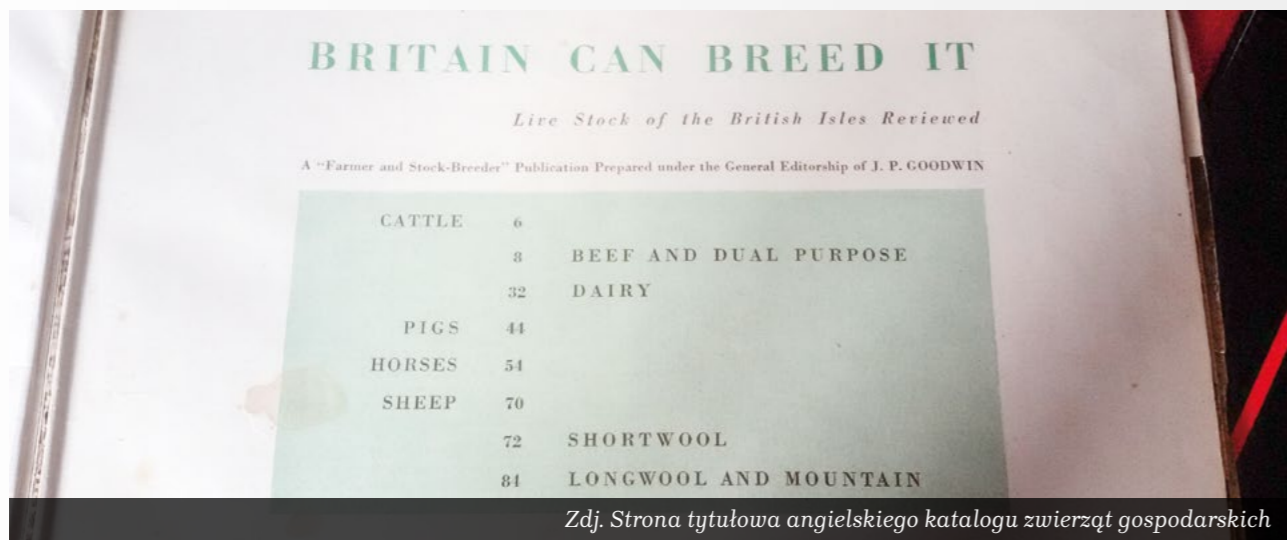
Ona [pani Żydek] mi powiedziała, że tam w jednej gazecie angielskiej piszą, że jakby ktoś chciał katalog zwierząt gospodarskich, to proszę pisać na taki, taki, taki adres i ja poprosiłem, żeby pani mi to napisała jakoś. Jak przyjechała na kolejną lekcję, to mi takie pisma napisała, taką prośbę i ja to wysłałem, po jakimś czasie, 2 tygodnie czy ileś, otrzymałem katalog. To była wielka atrakcja na tamte czasy, katalog zwierząt gospodarskich w języku angielskim, to są te zwierzęta różnych ras. Więc to jest też robota Strońskiego...



Zdj. Pierwsze podręcznik w szkole rolniczej stworzonej po wojnie w ornontowickim pałacu

Albo na przykład świerzb wyskoczył. Wszyscy mieli świerzb, trzeba było się smarować. Kto to maść wymyślił? Właśnie Stroński, razem z doktorem Bielichem, który prowadził ten cały rejon z Orzesza, razem wymyślili taką dobrą maść. Myśmy to smarowali. Mało tego, moim zadaniem w międzyczasie było stare prześcieradła czy coś takiego, przeciąć na takie pasy i owinać wszystkie klamki, i co pewien czas na płótno było moczone w środkach dezynfekcyjnych. W ten sposób walczyliśmy z tym świerzbem i do tego też przyczynił się profesor Stroński. A to ciekawe, że zrobili album w tej szkole, nie album, tylko tablo profesorów tam jakiś, partyjnych i tak dalej, a Strońskiego nie ma, bo Stroński w 48 już umarł, więc te wszystkie dokumenty od 45 do 48 poszły tam gdzieś i młoda generacja pracowników, nie była w stanie dotrzeć i odtworzyć, żeby również Strońskiego tam umieścić. Ja się z tym nie mogę pogodzić, ja już nawet artykuł napisałem do „Głosu Ornontowic”.

Nauczyciele z tych przedmiotów ogólnokształcących to byli przeważnie dojeżdżający i jeden z Mikołowa poświęcił się, albo aż z Katowic. Pan Krupa, pracownik radia katowickiego, przyjeżdżał i uczył języka polskiego raz w tygodniu, więc cały dzień mieliśmy polski. Pierwsza czy druga godzina



to jeszcze jako tako, ale później to już nie wiadomo co się dzieje, jak się powtarza jeden przedmiot kilka razy.

Pewnego dnia jeden uczeń skaleczył się aż do kości i zaraził się chorobą od świń, ręka była cała czerwona, wtedy Stroński, zaś w Chorzowie, znalazł kolegę lekarza i razem coś tam wykombinowali, a ten uczeń miał na nazwisko Żeleźniok, bardzo dziwnie się nazywa, w końcu uratowali tego chłopaka. On [prof. Stroński] był wychowawcą pierwszej klasy, ale później usunęli go, bo nie był partyjny. On prawdziwą lekcję wychowawczą prowadził. Uczył nas jak mamy się zachować tu i tam. Nie było polityki i niektórym to przeszkadzało. On [prof. Stroński] nam takie różne rzeczy mówił, jak się mamy zachować, na przykład jak wychodzisz ze swoją panią z tramwaju, to ty pierwszy wychodzisz, a później pani dopiero, albo jak, idziesz chodnikiem to zawsze zabezpiecz swoją panią i idź od ulicy głównej. Takie drobne rzeczy, ale on na to zwracał uwagę ale to były te pierwsze miesiące, bo potem przyszedł prof. Kreutzer i wprowadził politykę.

- Kwiaty to jest Pana praca zawodowa czy tylko hobby?

Nie, nie. Ja jestem z zawodu zootechnik. Pracowałem na uczelni na wydziale żywienia zwierząt, to nie ma nic wspólnego z kwiatami. Dopiero potem to przyszło, jak znalazłem się tu w Ornontowicach.

Ja się tutaj [w Ornontowicach] ożeniłem, tam było pole i w '56 zaczęliśmy obsadzać. Likwidować sad i obsadzać tujami, to nas wtedy za głupka sąsiedzi uznali, że robię cmentarz z tego ogrodu. No ale to był ten początek, a później założyłem Towarzystwo Miłośników Róż. Brałem udział w Międzynarodowej Wystawie Róż w Chorzowie w '68 i tam mieliśmy też kilka tych stoisk.

[...] Ja w tej chwili lansuję naszego ogrodnika... tutaj ten ogrodnik, który uratował 12 krzewów róż. Bo w '45 roku to wiadomo, co się działo z parkiem. Gdzie się dało i zostało trochę tych poliantów rozrzuconych byle kaj, poniszczonych i myśmy to wykarczowali jako uczniowie, na wiosnę w '46 r. Ogrodnik, Skowronek się nazywał, on w tej kupie kompostowej odszukał korzenie przynajmniej z jednym pędem zielonym, żyjącym i to posadził do ogrodu Cięciałce. To była położna tutaj w Ornontowicach i powiedział Cięciałce: „Słuchajcie, to wom jeszcze ładnie zakwitnie.” I wtedy żona moja, to znaczy później moja żona – Hela, Helena się tym zajęła, a że ona jeszcze była smarkata, to Skowronek chodził i jej pomagał w pielęgnacji. Potem ja się znalazłem w '56 i kontynuowałem, i te róże są teraz najstarsze w Polsce, mają 81 lat. Ona, ta Hegenscheidtka kupiła te róże w '37 r.

- Na koniec chciałbyśmy się jeszcze zapytać czy potrafi pan powiedzieć takie jedno słowo, które jest dla pana szczególnie ważne, z tego okresu kiedy pan był tutaj właśnie w tej szkole. Słowo które opisywały jakieś uczucia, było dla pana bardzo ważne w tym czasie?

Dla mnie to jednak, niezależnie od wszystkich, najważniejsze są te cechy profesora Strońskiego. Zrobiły na mnie takie wrażenie i zostały do dziś. Jego inteligencja, jego poczucie obowiązku i pomocy, to zostało. To jest taki wzór. Nie było takiego drugiego nauczyciela, który miał taki wpływ decydujący na człowieka, a on był wyjątkowy.

Rozmawiała:
Monika Malcherczyk

Teresa Zdzieblik-Kudła

Wszyscy pracowali na rozwój Ornontowic.

ur. 12.01.1958 r. Ornontowice
Absolwentka Technikum Rolniczego w Ornontowicach.
Studentka Wyższej Szkoły Rolniczo-Pedagogicznej w Siedlcach.
Nauczycielka w Zespole Szkół Ponadgimnazjalnych w Ornontowicach

- Jaką osobą był Pani ojciec?

To jest dość trudne pytanie i trudno go [mojego ojca] będzie scharakteryzować, ale to był taki bardzo wyrazisty człowiek. Chociaż w czasie, kiedy ja go pamiętam, to on już był taki trochę schorowany i już aż tak mi bardzo się nie dało odczuć tej jego charyzmy, ale jego osobowość charakteryzuje może nasz dom, który był zawsze otwarty dla wszystkich i bardzo dużo ludzi się w tym domu spotykało. To była taka bardzo surowa osoba, ale szczerza dla wszystkich, wymagająca od siebie i od innych, ale bardzo szczerza.

- Czym przysłużył się ornontowiczantom Pani dziadek, że wybrano go ponownie na naczelnika gminy w 1930r.?

Mój dziadek, to on stworzył tutaj tą placówkę i najpierw pracował tutaj sam, jako naczelnik gminy i na pewno zrobił dużo dobrego, między innymi spowodował jak gdyby integrację społeczności Ornontowic, jeśli chodzi o czasy przedwojenne, z właścicielami majątku, Hegenscheidtami, bo był z nimi, no powiedzmy sobie, w takich, trudno powiedzieć przyjacielskich relacjach, ale w każdym razie kontaktowali się razem z tej przyczyny, że mieszkali po sąsiedzku w jednej wsi. No prawdopodobnie dzięki staraniom mojego dziadka



powstała straż pożarna, tutaj w Ornontowicach, placówka Ochotniczej Straży Pożarnej. No i również przysłużył się propagowaniu takiej gospodarki i, jeżeli chodzi o rolnictwo, propagowaniu jakichś nowych trendów. Mój dziadek założył pasiekę, potem sąsiedzi wzorowali się na nim i również hodowali pszczoły. Mój dziadek korespondował z takimi firmami ogrodniczymi na całym świecie i przysyłali mu takie ciekawe okazy roślin, które potem, jakgdyby, tutaj rozpowszechniono. Również trudnił się szkółkarstwem – produkcją nowych sadzonek lub drzewek.

- To Ornontowice bardzo się rozwinęły, gdy Pani dziadek był naczelnikiem gminy.

No rozwinęły się, bardzo się rozwinęły Ornontowice, z tym że to nie była tylko zasługa mojego dziadka, bo to cała społeczność, wszyscy pracowali na to, ale no on jak gdyby był tym drogowskazem i prowadził w określonym kierunku. Mój dziadek, jak gdyby, wyprzedzał to swoje pokolenie o jedno i wiedział w jakim kierunku, jak gdyby ma iść ta koniunktura, tak bym powiedziała.

- A jak Pani wspomina dziadka? Jako taką ciepłą osobę?

No bardzo dobrze go [mojego dziadka] wspominałam. Mówiliśmy przed chwilą o moim ojcu, więc mówiłam, że ojciec był takim surowym człowiekiem i wymagającym, natomiast dziadek na wszystko pozwalał, jak to dziadek. I taki był, no, jeżeli widział w kimś, we mnie na przykład, że chcę się czegoś nauczyć, chcę się czegoś dowiedzieć, to był bardzo taki, no próbował w miarę swoich możliwości tą wiedzę swoją przekazać. A potrafił bardzo dużo, chociażby te pszczoły i to wszystko, co się wokół tych pszczoł kręci.

- Jak Pani ocenia rozwój Ornontowic? Czy w pozytywny sposób, czy dużo się tutaj dzieje, czy sklepów jest więcej?

Coraz lepiej, coraz dalej, coraz więcej, także według mojej oceny, no to widzę bardzo pręźnie się [Ornontowice] rozwijają. Pod względem kultury też, bardzo, bardzo, zwłaszcza Teatr „Naumiony”, który jest taką, powiedzmy sobie, wielką wizytówką Ornontowic. No i też muszę się przyznać, że jak gdyby moja rodzina, wkład w tworzenie się tego ruchu teatralnego w Ornontowicach.

- Co Pani może powiedzieć na temat życia w czasach PRL-u?

Było dziwnie i te czasy PRL-u odcisnęły się piętnem na takich zwłaszcza rodzinach, które jak gdyby parły do przodu i próbowały zdobyć wiedzę i zrobić coś dla społeczności. No i między innymi moja rodzina na tym ucierpiała, bo mój ojciec siedział w więzieniu, bo był członkiem AK, oczywiście jeszcze wtedy nie był mężem mojej mamy, ale to się odcisnęło piętnem na jego życiu bardzo. No powiem tak krótko, mój dziadek, o którym mówiliśmy przed chwilą, miał dwóch synów, którzy dożyli takiego wieku, kiedy mogli iść do szkoły, mogli się kształcić. Jeden z synów mojego dziadka został lekarzem, a mój tata był kreowany przez dziadka na weterynarza. No ale dlatego, że poszedł do więzienia, nie było mu dane skończyć studiów, ani żadnej nawet innej szkoły, bo potem prawdopodobnie w czasach PRL-u nie mógł chodzić do szkoły, bo takim ludziom zabraniano jakichkolwiek kontaktów z wiedzą czy z nauką. No i chociażby przez to takie piętno się odcisnęło, ja mówię o naszej rodzinie, ale dotyczy to poszczególnych rodzin, które tworzą społeczność Ornontowic.

- Jak wspomina Pani dzieciństwo?

Bardzo dobrze [wspominam dzieciństwo]. Bardzo dużo się działo i mówiłam tu też przed chwilą, że nasz dom był zawsze otwarty, tam się przewijało bardzo dużo ludzi. U nas spędzali wakacje kuzyni, kuzynki, ja już nawet tego wszystkiego nie zliczę, także no pełny dom był zawsze tych ludzi. No i ta atmosfera, którą stworzył dziadek, a później ojciec – bardzo przyjemna, bardzo sympatyczna, chociaż taty żeśmy się bali, trzeba się było czasem przemykać pod ścianami, ale nigdy nie było tak, że my, dzieci, nie wiedzieliśmy co możemy, a czego nie możemy, więc jak żeśmy zrobili coś, czego nie było wolno, no to było chodzenie pod ścianami. Ale generalnie to te takie nakazy i zakazy to wy też macie teraz, więc wiecie, o czym mówię i tak powinno być, uważam. A ja wspominam bardzo dobrze dzieciństwo. Chociażby też z tego względu, że rodzina była wielopokoleniowa, mieliśmy babcię, mieliśmy dziadka, także oni też nas tam trochę pilnowali.

- Co Pani sądzi na temat współczesnej mody? Jak może ją Pani porównać do wcześniejszej? Jak się kobiety wtedy ubierały? Jakie fryzury nosiły?

To znaczy z tego, co widzę, to się wraca do pewnych kanonów w tej chwili, jeżeli chodzi o modę i ubrania i fryzury jakby kopiując z tamtych czasów PRL-u.

- Co mówił Pani dziadek na temat wojny? Jak to wtedy było?

Czasy wojny to był temat tabu w naszej rodzinym domu. Nie mówiło się o tym, tym bardziej że, mój dziadek zmarł w czasach PRL-u, jak to pozostało nazwane i nie można było tego tematu poruszać w ogóle. Ale wiem, że bardzo ciężko dziadek przeżył wojnę, tym bardziej, że jego syn jeden, wcielony do Wehrmachtu, zginął na wschodnim froncie, brat mojego ojca. No i potem tata był represjonowany po wojnie za właśnie przynależność do AK. No i to było dla pokolenia mojego dziadka i pokolenia mojego taty, to był straszny czas i na pewno dużą taką rysą się odcisnęło na psychice i jednego, i drugiego pokolenia.

- A ten brat od Pani ojca, o którym mówimy, to on był tym lekarzem?

Ten właśnie [brat mojego ojca], o którym mówimy, co zginął na wschodnim froncie, to był taki duch, jakby to powiedzieć, wielki duch. On studiował handel zagraniczny we Wrocławiu, czyli po niemieckiej stronie, to były Niemcy, i on znał w mowie i w piśmie pięć języków, także on, gdyby nie wojna, przypuszczam, byłby wielkim człowiekiem. No ale nie skończył studiów, jako że był we Wrocławiu, to trafił do Wehrmachtu i najpierw był na froncie zachodnim we Francji. No tam się podzielił chlebem z jakimś biednym dzieckiem i za karę został skierowany na front wschodni, gdzie praktycznie bardzo szybko został odstrzelony, że się tak wyrażę. I babcia moja dostała tylko zdjęcie brzozy, pod którą jest pochowany, ale przypuszczam, że to zdjęcie to była taka sztampla, którą dostawał każdy żołnierz, który zginął na froncie wschodnim. Dla niego to na pewno nie było żadne męstwo, bo on tak został wychowany i ja, znając swojego dziadka, wiem, że on go tak wychował. I dla niego nie było alternatywy. Dziecko głodne, więc trzeba mu dać chleba i to nie było żadne bohaterstwo z jego strony. Ale konsekwencje były jakie były.

- Zachował się bardzo mężnie dzieląc się tym chlebem.

To, żeby być człowiekiem. No, mówiliśmy o tym chlebie przed chwilą. I żeby takie gesty nie były dla mnie bohaterstwem, to jest chyba najważniejsze.

- Co Pani wie o uczestnictwie dziadka w powstaniach śląskich?

Dziadek bardzo niechętnie o tym opowiadał, ale wiem, że uczestniczył w powstaniach śląskich, bo pamiętam jego kolegów, którzy go odwiedzali i rozmawiali o tych czasach. Z tym że, nas, dzieci, wyganiano oczywiście spod takich rozmów. Ale brał w nich udział, na pewno. Tylko że, niemile to wspominał.

- Z babcią również miała Pani ciepłe relacje?

Też, tak samo, jak z dziadkiem. Babcia była taki rozpieszczacz. Drugiej babci, tej od mojej mamy, to tak słabo pamiętam, dlatego, że ona, raz, że myśmy mieszkali z dziadkami Zdzieblikami, a babcia, raz, zmarła jak miałam sześć albo siedem lat, więc jej tak dobrze nie pamiętam. Ja się jej trochę bałam z racji tego, że to była taka, bardzo rzadko się widywaliśmy, i babcia była taka, no była żoną nadsztygara, więc była panią. Ja ją pamiętam, jak ona chodziła w gorsecie i w takich sukniach, jakie się widzi w starych filmach, takie długie suknie. Tak właśnie babcią pamiętam.

- Czy miała Pani jakąś wspólną pasję z dziadkiem?

Wspólną pasją naszą było wyplatanie koszyków z wikliny. I to był okres zimowy, i to mi się najbardziej wbiło w pamięć, i najmiej wspominał właśnie to robienie koszyków. I taki pokój był w domu, bo dziadek tam przygotowywał tą wiklinę, bo to musi być specjalnie przygotowane i tam zawsze ogień w piecu, napalone, ciepło i myśmy tam siedzieli, i wyplatali te koszyki, i dziadek pokazywał, mi jak to się robi, bratu pokazywał i całą zimę żeśmy robili koszyki. Albo żeśmy zakładali, bo dla pszczoł się robi takie specjalne ramki, i wężę się na to zakłada (węża to jest taki włos przygotowany, żeby pszczoły mogły komórki sobie budować na tym), i robiliśmy takie wężę albo te koszyki, i tak żeśmy robili na zmianę, raz to, raz to.

- Czy to samo mieliście z babcią? Mieliście coś wspólnego?

A z babcią to czasami było szydełkowanie. Albo darcie pierza, szkubanie pierza. I babcia opowiadała nam straszne bajki czasem. Do tego stopnia straszne to były bajki, że ja się bałam spod pierzyny głowy wystawić, tak nas babcia straszyla. Opowiadała nam właśnie historie o tych utopcach, meluzynach, zawieruchach, co to jeszcze było... No takie różne. One tam są teraz, figury, w Katowicach gdzieś, różne meluzyny. Miało też to pewnie uzasadnienie, bo my wiedzieliśmy na przykład, że w strumyku siedzi utopiec i nie wolno się do tego strumyka zbliżać. Albo studnia, nie wolno było do studni patrzeć, bo tam jest utopiec. No i to też miało takie swoje uzasadnienie, żeby dzieci miały pewne takie zasady – tego się boję, tam nie idę. Ale były straszne te bajki.

- A co Pani może powiedzieć na temat stanu wojennego?

Straszny był stan wojenny. Ja byłam na studiach w tym okresie, byłam akurat na praktykach w Niemczech i ogłosili stan wojenny, i nas, studentów, praktycznie, prawie że zamknęli tam gdzie byliśmy na tych praktykach, w takim dużym gospodarstwie. A my nie wiedzieliśmy, co się dzieje, bo żadne informacje nie docierały. Nie było radia tam, nie było telewizji, myśmy nic nie wiedzieli, co jest grane. Pozostaliśmy zobowiązani do tego, aby nie opuszczać pomieszczenia i być do stałej dyspozycji. Także to bardzo straszny czas był. Potem, to było przed świętami Bożego Narodzenia, myśmy mieli tam być pół roku, na tej praktyce. Pojechaliśmy we wrześniu, więc praktycznie wrzesień, październik, listopad, grudzień siedzieliśmy tam, nie wiedzieliśmy, co się tu dzieje. Potem pojechaliśmy na święta do domu, no więc nas już z powrotem na te praktyki nie wypuścili, no to musieliśmy wrócić na uczelnię. No ale na uczelni też wcale lepiej nie było, dlatego że wszędzie chodziły oddziały ZOMO, to były takie Zmechanizowane Oddziały Milicji Obywatelskiej, mundury nie policyjne, tylko wojskowe i z reguły ich było czterech, i ciężko było się przedrzeć ulicą, żeby nie zatrzymali i nie legitymowali, także praktycznie jak się szło z akademika na wykłady, to ze dwa, trzy razy była kontrola dokumentów i wypytywanie po co, na co i dlaczego. Tak samo jak do domu się jechało, to przez pociąg przechodziły tabuny ZOMO i sprawdzali, i kontrolowali po co i na co. No i to było, potem ja byłam daleko od domu, bo pod Warszawą studiowałam. No i zaopatrzenie, jedynie ocet można było kupić w sklepie. A zresztą i o to było bardzo trudno. Także dla mnie czas wojenny to było coś straszego, a poza tym no wśród studentów różne rozchodziły się wieści, więc już wiedzieliśmy, że tu kogoś pobili, tam kogoś zabili, tu się coś stało, tam się coś stało. No a na uczelni bywały takie niespokojne duchy, więc nie wiadomo było, co komu do głowy strzeli i jak to się na reszcie odbije. No a poza tym młodzi ludzie myślą bez konsekwencji.

- Gdyby Pani miała wybrać najważniejsze dla siebie słowa, to jakie? Co się z tymi słowami kojarzy? Jakie wydarzenia, emocje, uczucia?

Takimi ważnymi słowami było określenie świąt dla mnie. I zawsze mi się to z takim ciepłem kojarzy i z określonymi potrawami, jakie się podawało, czyli na przykład „wilijo” kojarzyła mi się z moczka i z konopiotką. Moczka mi smakowała, konopiotka niestety nie. Ale na wieczery wigilijnej, bo u nas się nie mówiło „wieczera wigilijna”, tylko się mówiło „wilijo” to już wiadomo było, że chodzi o wieczerę wigilijną, to trzeba było każdej potrawy spróbować, włącznie z tą nieszczęsną konopiotką, a mój dziadek zawsze miał te konopie, te rośliny w ogrodzie. Dwa albo trzy zawsze rosły takie olbrzymiaste, trzymetrowe, także mieliśmy gotowaną tą zupę potem. No i za każdym razem, jak była ta wilijo, to trzeba było jeść tą konopiotkę. I do tego stopnia, że ona mi zaczęła smakować. I teraz właśnie smak tej konopiotki będzie mi się kojarzył z domem, no i z tą wiliją. Będzie mi się kojarzył z rodziną, w której ja wyrosłam i z członkami tej rodziny w czasie swojego życia ja się spotykałam. No i teraz dalej ja się spotykam, no już nie ma wszystkich, ale jak gdyby ten krąg życia się toczy i znowu młodszy ludzie, i może w podobnych kontekstach będą pamiętali mnie. No niekoniecznie przez tą konopiotkę, ale mi się ona tak kojarzy właśnie. No jeszcze „zajączek”, to było wiadomo, że to jest Wielkanoc, szukanie tych jajeczek po ogrodzie.

Chcę żeby ta tradycja nie zanikła. No tylko niekoniecznie to się określa tym słowem – tradycja, dla mnie to jest codzienność, ja bym powiedziała. Tak ma być i tak musi być. No ale wiem, że to jest tradycja.

Rozmawiała:
Wiktoria Jonak

Eleonora Skrobacz

Młódzież respektowała i szanowała nauczycieli

ur. 04.01.1933 r. Orzesze

Nauczycielka: SP Ornontowice, SP Orzesze



Zdj. Eleonora Skrobacz

- Gdzie się pani urodziła?

W Orzeszu na Sobolowym, ile razy jadę do Orzesza to każdemu pokazuję (córka; to jest obok huty szkła) tu się urodziłam bo tam mama miała sklep i tam się urodziłam.

- Jaki pani zawód pełniła?

Jestem nauczycielką, skończyłam gimnazjum w Mikołowie, i skończyłam, zdając maturę oczywiście zdałam również maturę z nauki pedagogicznej, bo wtedy w Mikołowie były zapotrzebowania na nauczycieli, no i ponieważ moja mama nie miała, emerytury więc musiałam zrezygnować ze studiów. Poszłam na drugą maturę, a mianowicie z pedagogiki. Wtedy zostałam już nauczycielką, ale w powiecie pszczyńskim. Pojechałam do powiatu, pan bardzo uprzejmy pytał, do jakiej szkoły chcę iść, ponieważ moja mama chorowała, więc powiedziałam obowiązkowo do Ornontowic. Każdy będzie za panią, krzychał, bo pani co niedawno skończyła tam szkołę podstawową i pani teraz znowu chce, tam iść a ja mówię panie inspektorze moja mama jest chora i potrzebuje opieki cisza dobrze proszę Panią jedźcie Pani do Ornontowic.

- Jak wyglądał ustrój w szkole ?

Proszę pana myśmy przyszli do Ornontowic w 55 roku, było 5 nas młodych (córka: etat był 36 godzin nie tak jak teraz 18), to także myśmy pracowali normalnie tylko z wielką ochotą (córka jak to po wojnie) i z wielką radością i proszę pana co tylko się mogło to się robiło, przyniosłam takie zdjęcie gdzie, bo potem założyłam kółko taneczne, a miałam tak fantastyczną młodzież proszę pana, nie chciałam już żeby takie stare rzeczy dzieci tam, miałam tutaj takie małe zdjęcia gdzie były moje małe dzieciątka, i dziewczyny i chłopcy, nie wiem gdzie dałam te zdjęcia, ale było bardzo przyjemnie, młodzież jeździła ze mną do Katowic. Tam poszliśmy do sklepu, tam mieliśmy stroje żeby młodzież miałam ładne stroje. Zawsze mieliśmy jakieś wyjazdy i młodzież była zadowolona, ale jeżeli chodzi o przygotowanie to było poza szkołą, znaczy po lekcjach po południu z tym tylko że młodzież nic nie mówiła i bardzo chętnie na to chodziła bo to był zespół taneczny.

- Czy były slangy nauczycielskie, młodzieżowe?

Nie było nic takiego. Młódzież respektowała i szanowała nauczycieli, teraz to jak się słucha to całe szczęście, że już nie uczę. Dawniej jedyne było że się w szkole mówi po polsku, a w domu po śląsku, ja zawsze mówiłam, że trzeba mówić poprawnie, a w domu możecie robić co chcecie, bo ja też w domu mówiłam po Śląsku, a w szkole po polsku.

- Największe pasje męża?

Muzyka, akordeon, pianino, klarnet. On prowadził chór i zespół muzyczny, to był muzyk.

- Miał wykształcenie muzyczne czy był samoukiem, może to dzięki rodzicom?

On był samoukiem, jego ojciec był nauczycielem, taty nie pamięta, jego tata zmarł, gdy on miał



Zdj. Tadeusz Skrobacz

4 lata. On miał młodszą siostrę, mąż był z 1930 roku, a siostra, Zdzisia z 1932 i zmarła na tyfusa. Jak ojciec przyszedł ze szkoły, to ją nosił na rękach, chciał, ją ratować. Niestety także on zmarł (babcia w lipcu chowała córeczkę a w sierpniu męża). I był jeszcze starszy jego brat Zygmunt, który też grał na instrumencie.

- Udzielala się pani tak aktywnie jak pani mąż?

Nie. Mąż prowadził szkolny chór i szkolny zespół muzyczny – to była szkoła podstawowa. W latach późniejszych prowadził też zespół muzyczny, ale członkami tego zespołu była już nie młodzież ale osoby dorosłe. Pracując w szkole średniej- Technikum Rolniczym, prowadził zespół wokalny – żeński, o nazwie „Wiolinki”. Będąc już na emeryturze, był członkiem chóru „Jutrzenka” do ostatnich dni życia. Ja zajęłam się domem – gotowaniem, praniem, sprzątaniem i wychowywaniem córki, i to mi odpowiadało.

- Pani zawsze uczyła w podstawówce?

Ja uczyłam w Ornontowicach, kiedy moja córka miała iść do szkoły to z mężem rozmawialiśmy bo akurat musiała by przejść przez tory kolejowe do Orzesza i ja powiedziałam:

Słuchaj Tadek, ja nie puszcze Marysi samej, bo jak pociąg pojedzie i jej się coś stanie?

Poszłam do pana kierownika z Orzesza i mówię, czy by przyjął, bo mówię kto mi pójdzie z Marysią do szkoły, ja muszę do pierwszej klasy, muszę ją prowadzić. No i wtedy pan powiedział „Nie ma sprawy przychodźcie czym prędzej” i do końca mojego nauczania, do mojej emerytury pracowałam potem w Orzeszu. Nie musiałam odejść z tej szkoły tylko ja sama po prostu, ze względu na córkę żeby nie przejechał mi pociąg, bo to był kawał drogi, także prowadziłam do szkoły i ze szkoły.

- Gdzie pani poznała swojego męża?

W Ornontowicach, w szkole podstawowej. Dawniej dostawało się tzw. „nakazy pracy” np. na 3 lata i nie było odwrotu, i taki też nakaz dostał mój mąż. I tak oto te 3 lata nakazu pobytu w Ornontowicach zmieniły się w ponad 60 lat. Tutaj mąż polubił to środowisko, te prace, widział że jest potrzebny, akceptowany, młodzież Go bardzo lubiła i szanowała. Natomiast ja w inspektoracie w Pszczynie,

powiedziałam że „muszę” pracować w Ornontowicach bo moja mama jest chora. I tak się poznaliśmy.

- Na czym jeszcze grali w tym zespole?

Z reguły mandolina jeszcze była popularna, akordeon i skrzypce.

- Były organizowane gdzieś wycieczki gdzieś daleko do kraju czy gdzieś za granicę?

Za granicę nie. Były wyjazdy do Katowic, do wesołego miasteczka, na karuzelę, do Planetarium. Jeżeli była jakaś ważna lektura, to jechaliśmy z młodzieżą do teatru „Wyspiańskiego” do Katowic. Do Katowic jechało się pociągiem. Chcieliśmy młodzież zapoznać z kulturą, z tym jak należy zachować się w teatrze, a także jak należy ubrać się na spektakl do teatru.

- Ile było godzin języka polskiego w tygodniu?

Tego nie pamiętam ale wiem że każdego dnia była jedna lekcja na pewno albo może i dwie. Co było dla mnie po prostu zawsze jakąś radością? Młodzież potrafi się dobrze wysławiać i mówiła ładnie, wyraźnie, co jest bardzo istotne. Ja na to niesamowicie zwracałam uwagę.

- Czyli zwracała pani uwagę bardziej na wymowę niż na gramatykę?

Gramatyka to jest u mnie na pierwszym miejscu. Gramatyka musi być bo musi być, rodzajniki, wszystko to wszystko musi być, musi wszystko do siebie pasować, "dziewczynki poszły, a nie poszli".

- Czy jest pani w stanie znaleźć jedno słowo, którym by pani opisała wtedy szkołę albo ten okres kiedy pani uczyła?

To było cudownie, to było cudownie. Ja szłam do szkoły z radością i wróciłam z radością.

- Miała pani czasami takie momenty załamania?

Nawet nie, bo miałam po prostu takie fajne dzieci, że coś niesamowitego, moi państwo po dziś dzień jak idę a tu mówią - o Pani Skrobaczowa! W szkole mówiłam wyraźnie, pr awidłowym językiem polskim, bo obowiązkowo musiały umieć bo jak pójdą do gimnazjum, to muszą to umieć, To były dziószki kochane i tak dalej.

- Jakie książki uczniowie najczęściej czytali wtedy?

Lektury. Nie było tak książek jak teraz, dawniej się tylko z biblioteki brało książki. Przeważnie były to lektury, na przykład Kochanowski, Mickiewicz obowiązkowo, no tak nasi po prostu Polacy, i te wiersze się uczyło.

- Wolala Pani uczyć polskiego czy niemieckiego?

Ja proszę Pana uczyłam języka polskiego ale potem była moda na niemiecki (bo wtedy wszyscy wyjeżdżali) i szukali wtedy nauczycieli języka niemieckiego. Szybko zdałam egzamin, bo znałam niemiecki. Moja mama zawsze mówiła tak: U nos na Śląsku to musisz umieć tak język polski prawidłowo i język niemiecki prawidłowo, przyjdą Niemce to nom zbierają wyngiel z ziemi, przyjdą Polacy to nom zbierają wyngiel z ziemi, to im musisz nazdać. Co ja miałam zrobić. Musiałam się nauczyć języka niemieckiego perfekt (tez się wychowywała w czasie wojny, to musiała umieć niemiecki). Perfekt się musiałam nauczyć i zdałam egzamin z przyjemnością, no i mogłam uczyć w szkole. Nie uczyłam w jednej szkole, a w kilka szkołach.

- Więc dużo ludzi wyjechało?

Tak dużo. Nasi uczniowie, nawet z technikum uczniowie piszą nam ży-



Zdj. Eleonora Skrobacz



Zdj. Tadeusz Skrobacz i szkolny chór wraz muzykami akordeonowymi

czenia świąteczne. Mnie tam w każdym razie nie ciągnie, mnie jest dobrze tu na Śląsku. Chociaż nas też wyzywają ślązakami różnie to bywa, ale ja po prostu mówię, że ja jestem ślązacczką i na tym się kończy.

- Czy wszyscy uczniowie znali śląski perfekcyjnie?

Dawniej się tylko w szkole mówiło po Śląsku, było nawet takie zdarzenie z naszą ciocią, która przyszła z Tarnowa, i mama ją przygarnęła pod skrzydła bo ona nie znała nic śląskiego i ona przyszła do mamy i powiedziała. Wiesz co, bądź takim moim tym domecerem (tłumaczem) z polskiego na śląski i z śląskiego na polski bo do mnie dzieci przychodzą i nie rozumiem, co oni do mnie mówią. W pewnym momencie dawniej się nie pisało takich usprawiedliwień z lekcji od lekarza jak kogoś nie było, w szkole, i przychodzi właśnie dziecko do tej pani co z Tarnowa pochodziła i mówi:

- Pani jo niy był wczoraj w szkole bo jo kucoł.

- Aha już niy kucosz?

- Niy jo dalij kucom ale już zech przyszoł do szkoły.

A on stoi przede mna - więc powiedziałam.

- Dobrze, dobrze dziecko, idź już do klasy usprawiedliwienie przyjąłam.

Leci do mamy i opowiadło ij to.

On kucoł, a stoł przede mną. Wytłumacz mi na czym to wszystko polego?

Ja mówię.



Zdj. Zespół taneczny prowadzony przez p Eleonorę Skrobacz

- Helusia, kochana, kucanie to jest kaszlenie (ten kawał opowiada się wszem i wobec, można to nawet zapisać do książki, kawał życia). My jeszcze dzisiaj dzwonimy jedna do drugiej, ona mieszka w Zabrze, a ja w Ornontowicach. Ja mówię Heluśka, fajno że tak jest, my jesteśmy oby dwie, ona jest moją przyjaciółką, a ja jej.

- Widziała pani, jak młodzież się zmienia podczas ponad 40 lat nauki?

Oczywiście, nasza młodzież po prostu słuchała, umiała słuchać, a obecna młodzież nie potrafi słuchać, ja nie wiem czy pan to zauważył, ale ja to zauważyłam, chociaż już nie uczę, ale jak słyszę jak jadą w pociągu i opowiadają, to mnie po prostu ciarki biorą.

- Czyli twierdzi Pani że młodzież się zmieniła na gorsze?

Nie tyle co na gorsze, ale był inny trend. Jest szalona różnica między dziś a wczoraj.

- Jakie były najpopularniejsze zabawy szkolne?

Skakanie przez gumę, piłka, badminton, klasy, raps zgubił kapelus.

Rozmawiał:
Dominik Kowalski

Walter Niemiec

Syn Ślązaka deportowanego po wojnie do Rosji

Walter Niemiec
ur. 10.05.1930 r. Zabrze
Zawód: Górnik



Zdj. Walter Niemiec

Ja nazywam się Niemiec Walter, rocznik '30, także 4 razy 22 lat, tyle mom, a jak macie matematyka opanowano, to wiecie, ile to jest. Ojciec mój nazywał się Jan Adam, urodzony 22.12.1905

No i teroski rodziny były liczne, nie tak jak teraz, i teraz powiedzmy taka rodzina jak miał mój ojciec, było 7 chopców i jedna dziolcha, no i teroski z tych 7, trzech dostało robota za granicą, reszta była przeważnie bezrobotnych i już w tych rodzinach powstawał jakby taki zgrzyt, że jeden drugiemu zazdrościł, bo jak jeden mo zarobek i drugi jest bezrobotny, a musiał dużo szukać, żeby na ten chleb zarobić, a nie chcieli być jak takie elwry, bo tak tych bez pracy nazywali, no to oni później patrzyli tych ubocznych robót, ino żeby na życie było, nie na cygarety, bo kiedyś były drogie, ale na przykład na chlyb. I teraz też powstawały takie przezwiska jak „orgiesz”, czyli ten co robił za granicą. Wyobraźcie sobie jak taki jak mój ojciec robił na kopalni i przypuśćmy on zarobił 200 marek niemieckich, z tego zaraz na miejscu przy wypłacie, bo wiedzieli, że jest z poza granicą, to od razu dostał i polskie pieniądze, i niemieckie. Dawniej w tym okresie za jedna marka było dwa złote, tak jak on dostał 100 marek niemieckich i 100 marek przemienionych to miał 200 złotych, a za te 200 złotych,

kilo szpyrki kosztowało 1,10 zł, taki kawaler jak chcioł się żenić, to takie ubranie co nazywało się czarny zakiet, galoty w takie sztrajfki, co teraz już nie ma takiej mody, u krawcy zamowil i zapłacił 110 złotych, a na wypłata dostał 200. No a teroski te 100 marek które miał, jechał se do Niemiec pomaszkyć. Dzisiaj się to nazywo pomarańcze, dawniej apluzyny, 10 groszy kosztowały i se wyobraźcie jak było dobrze. Także ta nienawiść już w samej rodzinie się rodziła, no i teraz jest to nie do pomyslenia.

Rok '45 to zaś powiedzmy polityka wprowadziła tej ruskiej armii, że oni jak weszli na Śląsk, przeszli już przez Katowice, Bytom i Zabrze, to oni dostali rozkaz, że są na niemieckim terenie i mogą robić co chcą. Jest powiedziane, że 90 tysięcy ludzi zostało wywiezionych, w tym '45 roku i se wyobraźcie 90 tysięcy ludzi, co zostało wywiezionych dla ZSRR, ale nie tylko, to 27 stycznia wlażyły Rusy tu na nasze teren, a już 2 lutego zaczęły się pierwsze wywózki i do tej Rosji te wywózki trwały do maja, a już w czerwcu znowu brakowało ludzi, żeby te nasze uzupełnić i zostały zrobione takie obozy u nos, jak Zgoda, Jaworzno. Ojca zebrali już w lutym, nasza rodzina to była matka, troje rodzeństwa, matka była w ciąży, a teroski, że byliśmy uznawani jako Niemcy, nie dość że z nazwiska, ale też ojciec robił za granicą, to matka dostała powiadomienie od szkoły, że trzeba ogrzać i matka, która była w 5 miesiącu ciąży, mo iść ten koks ściepować, a ja że od modych lot jestem uparty i nie dam się, powiedzmy byle jak sprowokować, poszedłem na ta gmina, do tej frele, że ja pójda ten koks ściepować, bo matka jest w ciąży i nie pozwolę na to, żeby poszła koks ściepować i jak to opanowałem, że ta matka tam nie poszła, to za dwa dni kartka, że matka mo iść na okopy, na Bojków. I znowu wyrzcołem, że matka nie pójdzie, jo pójda i się udało, że ja na te okopy poszedłem, a że miałem dopiero 15 lot, byłem niewielki i na tych okopach było mi dobrze, bo od razu do tych ruskich, do kucharza się przyczepił, drzewa mu nanosił i jak on obiody ważył, to jo przy tym pojodł. Ale dawniej wszystkie rodziny, nie tak jak dzisiaj, że były robione zapasy, w każdym domu były komory. W fajnym mieszkaniu było kuchnia, izba i komora. Dawniej w tej komorze była gruzna na kartofle, beczka z kapustą, no i jakoś półka na kralży i to były

zapasy na zima i jak teraz weszły Rusy w lutym, to te zapasy w tych komorach były i kartofle, i kapusta była, gorzej było z chlebem. Jeszcze w czasie wojny już były kartki żywnościowe, ale te kartki były na miesiąc, ale każdo gospodyni miała w byfyju na zapas jeden wypiek, nie wiem czy umiecie sobie wyobrazić, że kiedyś prawie każda gospodyni umiała piec chleb, tylko była potrzebna mąka, której nie było tak łatwo mieć.

Ja o tym wom musza pedzieć, ojca aresztowali bo wypadek spowodował i jak siedział tydzień, to go z kopalni zwolnili, a jak przyszedł to go znowu przyjęli, jako nowego i nie dostał dodatku na węgiel, i innych różnych ulg.

Słowa, które były dla mnie ważne. To są na przykład jak jo się uczył przez wojna za masarza, to takie słowa pamiętam, zawsze mistrz jest mistrz, ale ta pani majstrowo okropnie miała zawsze inne wypisy i jak jo się poskarżył majstrowi, to on mi pedoł: „W trzymać, przetrzymać, pysk trzymać.” Teraz jak już robił na kopalni, były różne roboty i była jedna taka robota, powiedzmy brakło mi wiadomościachowych, a przyszedł mnie odwiedzić dyrektor nakontrolaisię pytoł jak misię powodzi, co słyhać, no jamu powiedział: „Dyrektorze mom pytanie, bo nie wie jak z tego wyjść.” I stanął, i patrzył mi w oczy, i powiedział: „Umiesz liczyć, to licz na siebie.” A trzecie to nawet jest w Biblii napisane: „Jesteś synem Bożym, połóż się sam.” Ja jeszcze jak byłem kawalerem miałem takie powiedzonko:

„Wolno pokochać, wolno pobawić, tylko nie można smutku zostawić.”

Rozmawiała:

Aneta Łoborzewicz



Zdj. Walter Niemiec

Bolesław Piątek

Tyle krwi tam przelano.

ur. 15.12.1933 r. Ornontowice,
Zawód: Górnik, Prezes Koła Emerytów
Członek Towarzystwa Miłośników Ornontowic



Zdj. Bolesław Piątek

- Jakie było Pańskie dzieciństwo?

Więc jak mi było 6 lat, to było w '39 roku, tośmy uciekali do Rosji. Ojciec na rowerze, a my furmanką. Jechaliśmy tydzień w jedną stronę. Z powrotem drugie siedem dni, bo nas nie przyjęli na granicy. Gdy przyjechaliśmy do domu, to był on spalony. U nas w domu mieszkał jeszcze taki jeden co się Router nazywał. To był zastrzelony. I tak się to zaczyna wszystko. Dom spalony, mieszkać nie było gdzie.

- Jak chodźli ubrane dzieci w czasach Pańskiego dzieciństwa?

Bez lato krótkie spodenki i po bosoku się tyrało. Oczywiście podczas zimy łatwo nie było, ale zawsze jakoś dawaliśmy se rade. I nie było tak jak dzisiaj, nie było co ubrać, ani co jeść, kielbasa była raz na tydzień.

- Jak wyglądały Ornontowice przed wojną?

Mniej domów, mieszkańców było tam w dole. Było mało, mało domów ale za to były one duże i mieszkało w nim po 30 rodzin.

- Jak Pan pamięta swoją rozłąkę z Ojcem?

No to było tak, że jak żeśmy przyjechali, to po jakimś czasie w 1939 roku zabrali go i miał on zgrupowanie w Woszczycach. Wzięli tam całą policja ze Śląska. Ja jestem teraz prezesem tego „Rodzina Policyjna 39”. Mamy nawet rower, którym był w Rosji. Po tym jak tata wyjechał z domu na zgrupowanie, kontakt z nim się urwał. Dopiero w 2008 roku pojechałem na grób ojca. Tam leży tych policjantów 6300. Tyn co strzeloł, miał rekord za jedna noc 270 policjantów. Tam gdzie ich zabijali, to przywozili ich z Ostaszkowa, 150 km do tego Miednoje. Jak się zaciemniło to traktory i ciężarówki ruskie chodziły całą noc, żeby zagłuszyć wystrzały z broni. Ja nawet byłem w tej piwnicy gdzie ich wystrzelali, jest tam teraz taka tablica pamięci. Jak tam ziemia była czarna, a cement w tej piwnicy, był szarego koloru, tak do teraz jest czerwony. Tyle krwi tam przelano. Gdy te zwłoki już zakopano, to sadzono na nich drzewka, do dziś tam nie zaśpiewał ani jeden ptak.

- Gdy podczas wojny próbował się Pan kontaktować w jakikolwiek sposób ze swoim ojcem?

Nie, nie było w ogóle żadnej gadki o tym, ale mama pisała do Czerwonego Krzyża, zaś ten mówił, że to Niemcy go zastrzelili, bo oni strzelali bronią niemiecką.

- Jak wyglądał zwykły Pana dzień podczas wojny?

Nawet Niemcy chcieli nam kupić materiał, żeby my odbudowali ten dom!! Ci sami co zamordowali tego Routera, co u nas mieszkał, to nam chcieli materiał dać, ale nie było żadnych ludzi do roboty.

- Często musiał Pan walczyć o życie, w sensie takim, czy zawsze, każdego dnia było tak trudno dostać jedzenie itd.?

Nie, tam młody człowiek to wiesz, mama wołała nam dać niż sama zjeść. No matka nie dostała znikąd nic. Niemcy tam po wojnie, raz za pół roku sto marek posłali z Czerwonego Krzyża.

- Jak wyglądała nauka w niemieckiej szkole?

No tak jak już wspomniałem, uczyłem się w niej [niemieckiej szkole] 4 lata, ogólnie nauka nie była trudna, ciężkie było to, że było mnóstwo o Hitlerze itd. No i uczyłem się w tej szkole, co w parku jeszcze niedawno była, aspalona została pod koniec wojny. Nawet kiedy szliśmy do szkoły, graliśmy z kolegami w piłka, to jak jechał jakiś ważny Niemiec, to trzeba było pozdrowić Hitlera, a jak się tego nie zrobiło, to przychodził na drugi dzień do szkoły i pokazywał, kto ma przyjść do ich siedziby, która wtedy była obok naszego urzędu gminy. Kara polegała na tym, że czyściliśmy im buty, rowery itd.

- Czy dochodziły Pana Jakies słuchy o Auschwitz?

Nie. Nawet kuzyn mój też zginął w Auschwitz, ale nie wiem, chyba byli sobie sami winni, bo chodzili w tych czapkach stdenckich, a ten szupok im godoł, że mają w nich nie chodzić i tak się to powtórzyło 3 razy, i wywieźli ich do obozu, i tam 7 dni żyli, potem zmarli.

- Jesteśmy już coraz to bliżej końca wojny, wiadomo że Rosjanie posuwają się coraz to szybciej. Jak Pan pamięta pierwszy dzień po wyzwoleniu?

Te frontowce to nie byli źli, bo jak oni weszli do chałupy, to tylko chcieli się herbaty napić i pytali się „Kuda Berlin (куда Берлин?” – „Jak daleko do Berlina?”). To oni nie robili nic, ale później za frontem szli takie chachary, co już dużo złego robili. Potem Ruscy na kopalni „Sośnica” pracowali.

- Kiedy Pan się dowiedział całej prawdziwej prawdy o losach swojego ojca?

Prawda wyszła na jaw, gdy tam pojechałem w 2008 roku po raz pierwszy. Tam trochę zajęło mi szukanie grobu ojca, bo to duży obszar.

- Jak Pan poznał Panią Elwirę, dziś Pańską żonę?

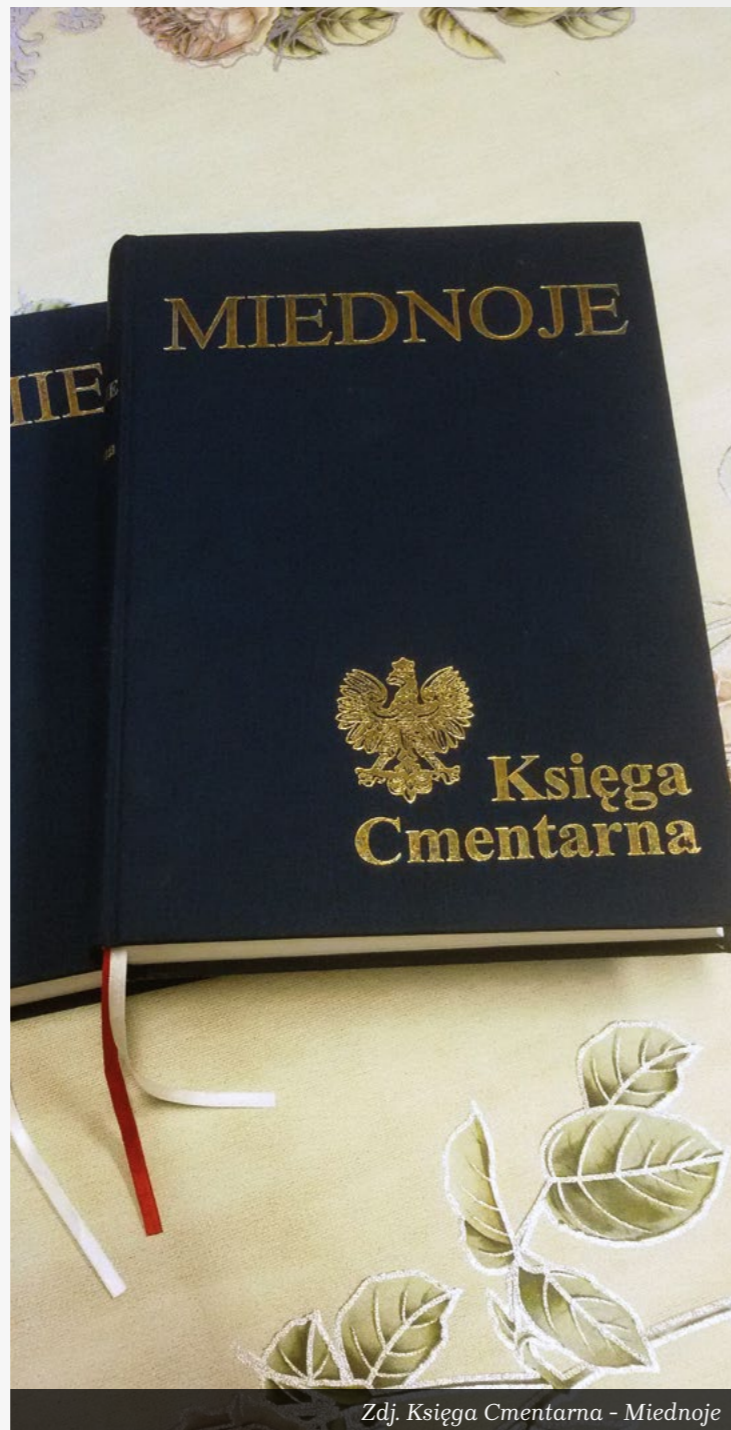
No poznałem ją, bo zech jeździł na fusbball do Zabrze. Koledzy też ją znali, bo ona robiła na koksowni „Makoszowy” i tak ją poznałem. Wziąłem z nią ślub w 1962 roku.



Zdj. Bolesław Piątek



Zdj. Zdjęcia Jana Piątka w Księdze Cmentarnej z Miednoje



Zdj. Księga Cmentarna - Miednoje

Teresa Sosna „Gizela” i Felicja Herdzina

Teresa Sosna, ur. 14.09.1943 r. Ornontowice

modelarz, członkini chóru „Jutrzenka”

Felicja Herdzina, ur. 27.05.1936 r. Ornontowice

Pracownice zakładów mechanicznych



Zdj. Felicja Herdzina

G.S.: W styczniu 1945 roku, zaraz jak do Ornontowic weszły wojska radzieckie, zabrali nam Taty. Przyszło do domu trzech sąsiadów z opaskami na rękach, jako milicja obywatelska, i kazali się ojcu zgłosić na gmina. I więcej ojca nie widzieliśmy. Nie wiem dlaczego go zabrali, przecież był porządnym człowiekiem, pracował jako dyżurny ruchu na kolei. Została matka, z czwórką małych dzieci. Siostra Eleonora miała 12 lat, Felicja 5 lat, następna Teodora 4 lata i ja Gizela 3 lata. Ja właściwie mało pamiętam, bo co może zapamiętać trzyletnie dziecko.

F.H.: Moje najlepsze lata to były w cz sie okupacji. Myśmy wtedy nie wiedzieli co to wojna, co to Oświęcim. Tata pracował na kolei, była mama, były ciotki i wujki. Było bardzo fajnie. No, ale skończyło się to w 1945 roku.

G.S.: Ja nie pamiętam ojca, bo miałam trzy latka. Z dzieciństwa pamiętam tylko, jak nas wygnali z domu i po prostu szliśmy przed siebie. Nie wiedziałam dokąd.

F.H.: Wyrzucili nas z domu, a wcześniej ojca wywieźli na Sybir. A nam powiedzieli, że jak się nie wyniesiemy to nas też tam wywożą. Na Sybir? Nie powiedzieli, gdzie mamy jechać, ale mama chyba wiedziała, że do Niemiec. We wrześniu wyszliśmy z domu i poszliśmy przed siebie. Mama

pchała mały wózek dziecięcy z dobytkiem, a my jak kaczuszki cała czwórka za nią. Poszliśmy na stację kolejową w Ornontowicach, żeby pojechać do Gliwic.

G.S.: Ja pamiętam ten krowiok, co myśmy w nim jechali. Mnóstwo ludzi, ścisk i wszędzie pełno tobołków. I jakaś kobieta zaczęła krzyczeć, chyba zwariowała. Jak długo jechaliśmy nie wiem. Ostatecznie dojechalśmy na wieś obok miasteczka Regensburg w Niemczech.

F.H.: Mieliśmy wózek dziecięcy od Gizeli, cztery kółka, wyłożony ceratą, ale bez budy. W nim mama wiozła cały nasz dobytek.

F.H.: Ale co mama mogła dla czwórki dzieci i dla siebie do tego wózka wziąć? A zresztą to ci nasi ornontowianie wszystko nam zrobili. Ojca zabrali, a nas wygnali. W 1938 roku pomogli nam budować nasz dom, taki wysoki, najwyższy w Ornontowicach, otynkowany z ogrodem. Wszystko na super i oni nas z tego domu wygnali.

G.S.: Myśmy byli w Niemczech przeszło 2 lata. Kiedy wróciliśmy dom był zajęty. Wszystkie pokoje zajęte przez lokatorów, nam się udało odzyskać jeden mały pokój, dla matki z czwórką dzieci.



Zdj. Teresa Sosna

- Kto wpadł na pomysł założenia Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Rodzina Policyjna '39?

Prezesem ogólnokrajowym tego Stowarzyszenia jest Teresa Racka. Stowarzyszenie powstało w 2000 roku, a ja jestem prezesem w katowickiej siedzibie tego Stowarzyszenia.

- Jak Pana zdaniem zmieniła się Polska od końca komuny do teraz?

No bardzo się zmieniła, słyszymy, że pieniędzy mają w bród, że bezrobocie jest najniższe od wielu dekad. Ale mimo tego, że mamy, to ludziom strajkującym w sejmie nie umieją dogodzić, także wszystko jest, ale dla nich nic nie ma, a przy tym roboty jest dużo.

Rozmawiał:
Jakub Modrzyk



Zdj. W trakcie wywiadu – od lewej: Teresa Sosna, Aneta Nocoń, Felicja Herdzina

FH.: I to jeszcze z wielkimi kłótniami, bo nas nie chcieli w ogóle wpuścić do naszego domu, ci lokatorzy co tam mieszkali.

G.S.: No i przede wszystkim wszystko ukradli z tego domu.

FH.: Wtedy jak przyszli nas wygonić miejscowi milicjanci to powiedzieli: „Jak wy pójdziecie tu z tego domu, to się tu nie może nic stracić, tu wszystkie łyżki i widelce muszą być, tak jak były. Nawet drzewka owocowe nie mogą być ruszone, a biada jakby była jakaś gałąź ułamana, to was od razu wywieziemy do Rosji”. Więc mama nic nie mogła wziąć bo się bała.

G.S.: Ale przedtem u nas stacjonowały ruskie wojska, bo to był nowy dom, największy dom. Te Rusy co tam mieszkaly wszystko poniszczyli.

FH.: Trzy albo cztery razy musiałyśmy opuszczać dom. Bo co wróciliśmy do domu i zrobiliśmy trochę porządku, to znowu Ruskie przyszły. Potem myśmy szły pieszo, nie wiem dokąd, bo pociągi często wtedy nie jechały. Pamiętam pełno ludzi na tych peronach, którzy chcieli gdzieś jechać, niektórzy czekali nawet trzy dni.

G.S.: Pamiętam jak miałam trzy i pół roku, to mama nie miała nam co dać jeść. Pamiętam, że gdzieś tam, chyba w Niemczech, było drzewo ucięte, mama siadła na te drzewo, my obok niej i zaczęła płakać.

FH.: Ja miałam wtedy dziewięć lat i poszłam kraść. Widziałam, że mama siedzi i płacze, bo nie ma dzieciom co dać jeść. Było tam jakieś gospodarstwo, więc weszłam do chlewa, a tam były kartofle ugotowane, takie czarne i brudne, chyba dla świń. Zabrałam parę tych kartofli i wtedy przyszła właścicielka tego domu i powiedziała do mamy: „Jak pani może dawać dzieciom takie kartofle?”. Mama odpowiedziała: „A ja nie mam im co dać”. I wtedy ona ugotowała kartofli całą miskę. To był jeden taki dzień, potem znowu trzeba było kraść i żebrać.

G.S.: To co mi jeszcze utkwiło w pamięci, to jak mama miała chleb to nożem tak kroila i liczyła, ile to będzie kromek, żeby wszystkim starczyło.

FH.: A myśmy patrzyły czy będzie jakoś dodatkowa kromka, choćby tylko jedna. Ale wiele razy się zdarzyło tak, że nie nadbyło.

G.S.: Potem jak wróciliśmy do Ornotowic to w szkole zawsze byliśmy półsierotami, zawsze bez ojca. Potem przyszedł sąsiad Hauschild, który wrócił z Rosji i powiedział, że jak wyjeżdżał z lagru to widział jeszcze ojca żywego.

FH.: Jak wychodził rano z baraku do roboty, to ojciec jeszcze leżał na tej pryczy, a jak wrócił, to go już nie było.

G.S.: Ojciec przeżył w lagrze najwyżej pięć miesięcy, bo go wzięli w styczniu. Mama nie mogła dostać emerytury, bo nie było świadka jego śmierci. I dalej ta bieda była.

FH.: I dlatego czasy okupacji to były najlepsze czasy. Tata miał radio i taką wielką mapę, i na tej mapie szukał gdzie się przesuwają fronty. Czy idą na wschód czy na zachód. A myśmy tylko słuchały bajek w tym radiu. Wszystko skończyło się w 1945 roku.

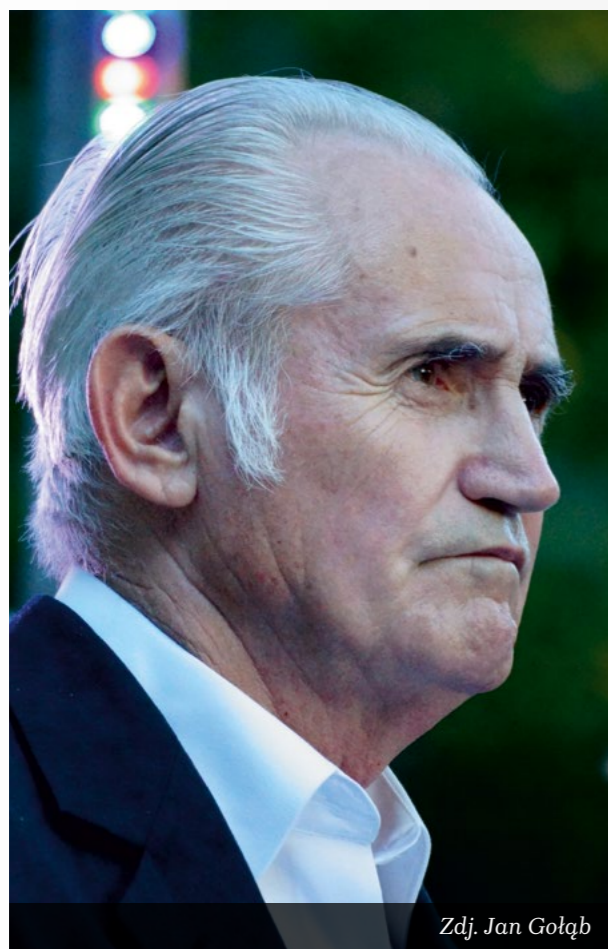
G.S.: A jak my przyszli z powrotem i ten dom był upaństwowiony, pełno lokatorów mieszkało i się kłóciło, że to jest od nich i wszystko nam ukradli. Potem, jak mama zaczęła pracować w stołówce, w kuchni przy kopalni Knurów to nam zawsze coś przyniosła. Ale musieliśmy czekać na ten obiad do siódmej wieczorem, bo mama dopiero wtedy przyjeżdżała. A potem siostra, ta najstarsza, poszła do roboty, potem następna siostra i oczywiście mamie pieniądze oddawały. Ja chodziłam do szkoły zawodowej do Gliwic i kiedy dostawałam stypendium, to mama pod szkołą już czekała.

Rozmawiała: Aneta Nocoń

Jan Gołąb

Moja rodzina tutaj mieszka od siedmiu pokoleń.

ur. 01.01.1941 r. Ornontowice
Górnik kopalni „Makoszowy”
Prezes chóru „Jutrzenka”



Zdj. Jan Gołąb

- Ile ma Pan lat?

Siedemdziesiąt siedem.

- Urodził się Pan w Ornontowicach i tutaj mieszka?

Tak, tutaj mieszka moja rodzina od siedmiu pokoleń.

- Jak wyglądało Pana dzieciństwo? Miał Pan rodzeństwo?

Miałem dwóch braci, jeden już w tej chwili nie żyje.

- Czy mógłby Pan opowiedzieć, co zapamiętał Pan jako małe dziecko?

Tak, oczywiście.

Pamiętam trzy zdarzenia z okresu zakończenia wojny i pierwszych dni wolności. Kiedy Rosjanie wkroczyli do Ornontowic, spalili u sąsiada stodołę, która była blisko naszego domu. Żołnierze wchodzili kolejno do każdego domu, a kiedy weszli do nas, zaczęli gonić naszą mamę. My z bratem siedzieliśmy na szezłagu, a mama uciekła przed nimi i schowała się za drzwiami. Najpierw jeden wpadł do nas, potem drugi. Ja nie wiedziałem wtedy, jakie oni mieli zamiary. Kolejne wspomnienie, to kiedy mój ojciec wrócił z niemieckiego wojska i tym Ruskom naprawiał sprzęt zmotoryzowany. Naprawiał go na podwórku u ópy, bo miał tam warsztat. Kiedy auto zostało naprawione, Rusek uruchomił go i wjechał

do gnojoka, bo akurat wtedy ópa wywoził gnoj na rafiokach.

Jako że urodziłem się dużym dzieckiem, zacząłem wcześniej chodzić do przedszkola, która nazywano szkółką. Najpierw mama zaprowadziła mnie do starej szkoły zwanej organistówką, gdzie przyjmował kierownik szkoły Walenty Łowiński, i który w pewnym okresie był też organistą. Po powitaniu przeprowadzono nas przez park do szkółki w dworze Hegenscheidtów, gdzie później powstało technikum rolnicze. W tym czasie klasztor był spalony. W 1947 roku Ornontowiczanie wyremontowali klasztor i dobudowali jedno skrzydło z dwoma salkami, które przeznaczono na szkółkę. Przy budowie pracowało wielu ochotników, którzy wozili materiały na tragaczu. Mój rocznik był pierwszym, który tam uczył się. Jednym z warunków przyjęcia do szkółki, było posiadanie swojego stołeczka, dlatego niektórzy byli przyjęci dopiero w późniejszym okresie. W szkółce dzieci otrzymywały tylko mleko, a jedzenie trzeba było przynieść z domu. Opiekowała się nami siostra Asteria, która do dzieci podchodziła z wielką cierpliwością i miłością.

W 1948 roku zacząłem chodzić do szkoły i znowu wróciłem się do tej organistówki. W tym czasie były tam tylko trzy sale, a dzieci bardzo dużo, dlatego w pierwszej klasie chodziłem do szkoły po południu. Po trzech latach, mieszkańcy Ornontowic znowu się zmobilizowali i zaczęli budować nową szkołę. Już w 1951 roku przeszliśmy ze starej szkoły do nowej, byłem wtedy w czwartej klasie. W naszym roczniku było ponad sto dzieci. W tym roku do Ornontowic przyszła bardzo liczna kadra nauczycieli. W szkole tylko



Zdj. 1962 rok – Część pielgrzymów na Rajskim Placu na Gorze Św. Anny

klasy były w miarę dobrze przygotowane do prowadzenia nauki. Ogrzewania i bieżącej wody nie było, a ubikacje były na dworze. W późniejszym okresie, w każdej klasie pojawiły się piece węglowe i trzeba było z piwnicy przynosić węgiel. Często siedzieliśmy w kurtkach, a były też takie dni, że zaraz po przyjeździe wracaliśmy do domu, bo było tak zimno. Kiedy mój ojciec poskładał z części koło, byłem jedynym w szkole, który dojeżdżał takim pojazdem. W dniach kiedy wszystkie klasy rozpoczynały lekcje o godzinie ósmej, to przed rozpoczęciem zawsze był apel. Na tym apelu zawsze śpiewaliśmy pieśń „Naprzód młodzieży świata”. Ja miałem duże trudności, żeby zdążyć na ósmą godzinę, mimo że dojeżdżałem na kole. Dlatego często się spóźniałem. Pewnego dnia w szkole była jakaś rozróżba i kierownik Dominik Gryt zwołał apel na podwórzu za szkołą. W obecności całej szkoły wywołał jednego z uczniów na środek placu i mocno uderzył w twarz. Takich apeli było później więcej. Do tej szkoły chodziłem do 1955 roku. W tym okresie byłem również ministrantem.

Po ukończeniu szkoły podstawowej zacząłem uczęszczać do szkoły zawodowej w Katowicach Piotrowicach. W tym czasie Katowice nosiło nazwę Stalinogród. Do dziś mam świadectwo szkolne z nazwą Stalinogród. Po ukończeniu zawodówki pracowałem w Mikołowskiej Fabryce Maszyn Górniczych, następnie na dole na kopalni Makoszowy, gdzie przepracowałem 30 lat. W 1991 roku przeszedłem na zasłużoną emeryturę.

W 1966 roku ożeniłem się Hildegardą z d. Chmurczyk, z którą miałem czwórkę dzieci. Jedno z nich zmarło po urodzeniu. W tym czasie aktywnie uczestniczyłem w życiu gminy i parafii. Byłem członkiem chóru Wanda, a później chóru Jutrzenka, w którym jestem od 20 lat prezesem. Również byłem działaczem klubu sportowego LZS Ornontowice.



Zdj. 1962 rok – Część pielgrzymów na Rajskim Placu na Gorze Św. Anny – w środku (najwyższy) Jan Gołąb

Dosyć szybko zacząłem pielgrzymować na górę św. Anny. Ornontowiczanie byli zawsze głodni pielgrzymowania. W 1947 roku odbyła się pierwsza pielgrzymka na górę Św. Anny. Jeździliśmy tam pociągami, ale to nie były jakieś luksusowe pociągi, tylko krowioki z bydlęcymi warunkami. Komuniści mieli bardzo dobry system utrudniania dojazdów. Zawsze były różnorakie utrudnienia z pociągami, szczególnie podczas powrotów. Pamiętam, jak w 1947 roku trzeba było odebrać pielgrzymów aż z ulicy Pszczyńskiej w Gliwicach, dokąd doszli pieszo ze stacji kolejowej. Czekali tam na nich drabinioki i balonioki, którymi furmanili gospodarze z Ornontowic m.n : Maria i Franciszek Cyprys , Józef Hopek, i ja jako młody 7-latek.

Pierwszy raz kiedy brałem czynny udział w pielgrzymce na górę Św. Anny, wydarzyła się niebezpieczna sytuacja. Otóż, kiedy siedzieliśmy na skarpie kalwaryjskiej, słuchając kazania, i kiedy zakonnik powiedział „Amen”, grupa młodzieży zrobiła zadymę. Ktoś z tych młodych ludzi krzyknął, że się pali, że jest bomba, i wtedy wszyscy ludzie ruszyli w dół. Około kilka tysięcy ludzi zaczęło biec w dół. Mój ojciec był na tyle sprytny, że złapał mnie za rękę i zaciągnął pod drzewo. I od tego czasu nigdy nie przebywałem w tłumie, tylko z tyłu, aby mieć pole do ucieczki. Od 1947 roku dzięki ks. bp. Adamskiemu rozpoczęły się pielgrzymki mężczyzn i młodzieży do Piekar, ale dalej z transportem

były problemy. Mężczyźni musieli iść na piechotę na Wirek do tramwaju, żeby się dostać do Piekar. Tak samo wyglądała droga powrotna. Kiedy wracali to ja jechałem naprzeciw na Borową Wieś i wiozłem dla nich na kole w saku żyłły i zelter. Tak w tym czasie pielgrzymowali mieszkańcy Ornontowic.

- Czy jest jakieś takie jedno słowo, które było ważne dla Pana w tym okresie szkolnym?

Z tego okresu zapamiętałem wiele słów, które wydawały się ważne. Myśmy się nad tym nie zastanawiali. Na przykład bardzo potoczne były przezwiska nauczycieli np. Gałgan, czy Kloc, ale także nazwy używanych pojazdów np. rafiok, baloniok, szezlong, tragacz, sak, żyłła, zelter. A na przykład do dziadka zwracano się: ópa lub hapa.

Na koniec moich wspomnień chcę podkreślić, że przez ponad 70 lat mojego życia, od zakończenia wojny do teraz, Ornontowice zmieniły się nie do poznania. Jest to zasługa wielu osób: przewodniczących rady gminy, naczelników i obecnego wójta, jak również naszych duchownych, z którymi współpracowałem. Jestem dumny, że urodziłem się w ornontowickiej społeczności i razem możemy świętować 100-lecie Niepodległości. Jest to moja osobista historia, a można by było jeszcze więcej opowiedzieć.

Rozmawiał:

Krzysztof Krukowka

Bronisława Poremska

Pochodze z wielodzietnej rodziny.

Bronisława Poremska
ur. 13.06.1949 r. Ornontowice
Pracownik administracji szkolnej
Wieloletnia Przewodnicząca Koła Gospodyń Wiejskich



Zdj. Bronisława Poremska

- Proszę nam opowiedzieć o swoim dzieciństwie, jak ono wyglądało?

Pochodze z wielodzietnej rodziny. Nos było pięcioro no i mama, tata i babcia do nos chodziła. Mieszkaliśmy w małym domku comiał 2 pokoje, sień i przedsionek, jaki to mama w czasie wojny ukleiła sobie sama bez taty, bo tata był oczywiście na wojnie. Mama w tym czasie miała krowa, co nom mleko dowala, wiadomo że z mleka jest kilka produktów. Było też pole, na którym sadziło się coś do zwierząt i do nos do zjedzenia. Mama jeszcze chodziła do gospodarzy pomagać. Za to dostawała wypłacone jedzeniem. Jak świnię zbijali czy jakiego byka to było mięso. A na placu też były kurki, kaczki, mama bardzo się narobiła ale zawsze śpiewała, była radosno. Do swojej siostry też chodziła pomagać, za to dostawała chleb swojski i coś do chleba. Bo kiedyś to się piekło chleb, nie chodzili do piekarza, tylko raz na tydzień jest wypiek chleba i to potem my dostawali. To były smaki nie z tej ziemi. Swojski ser, biały twaróg, masło swojskie i do tego było jeszcze, z tego masła – maślanka. To było jedzynie królewskie. No, a do sklepów wtedy się nie chodziło, bo pieniążków nie było. To co było na podwórku uchowane - jak to się kiedyś mówiło – co uchowane to było w garnkach i do jedzenia.

Po tym taty wybrali za przewodniczącego Gminy, to zostałam przyjęta do przedszkola, ale było fajnie... zabawki, dobre jedzenie, a tyn budyń z sokiem to dzisiaj pamiętom. Potym była szkoła podstawowa. To było nowe wyzwanie, bo to była nowo szkoła. W szkole były nie tylko lekcje obowiązkowe, ale też zajęcia pozalekcyjne. Był chór, teatr, dużo sportu, piłka nożna, szta-

fety biegowe, gimnastyka akrobatyczna. Do wszystkiego należałam, ale najbardziej podobała mi się gimnastyka. Prowadziła ją Pani Małgorzata Chwaszcza, która była mistrzynią Polski w gimnastyce akrobatycznej. Dobrze nas przygotowała, jechaliśmy na zawody powiatowe. Zdobyliśmy I miejsce. A ja sama zdobyłam I miejsce w gimnastyce akrobatycznej w powiecie.



Zdj. W trakcie wywiadu – od lewej: Bianka Maczulska, Bronisława Poremska, Agata Makselon

Po skończeniu szkoły podstawowej mama mnie posłała na kurs maszynopisma i stenografii.

Do pracy się dostałam jako goniec w przedsiębiorstwie budowlanym i chodziłam na wieczorowe liceum, co się mi udawało pracować w biurze. Potem wyszłam za męża. Wtedy się wcześniej wydawało, miałam 19 lat. Potem się urodziło dziecko, syn Piotr - koniec roboty. Jeszcze była praca w Technikum Rolniczym, ale się urodziła córka Kasia. To koniec z robotą, trzeba było być z dziećmi. Budowaliśmy dom, to męża prawie nie było w domu. Musiał dorabiać żeby skończyć budowa. Już po przeprowadzce do nowego urodził się nam syn Zygmunt z genetyczną chorobą (Zespół Downa). Do nos to był szok, pomalutka żemy się przyzwyczajali, ale nie było tak źle jak lekarze mówili. To On nauczył nas tej miłości.

Za pomocą mojej koleżanki wyjechałam do Borów Tucholskich z trzyletnim Zygmuntem przez Warszawski Instytut wczesnej Interwencji. Tam mieliśmy terapię dla dzieci i dla nas, dużo się dowiedzieliśmy jak postępować. Zygmunt został przyjęty do naszego przedszkola, a ja do pracy w tym przedszkolu.

Po jakimś czasie wyszło zarządzenie, że matki dzieci upośledzonych mogą ubiegać się o rentę opiekuńczą mając przepracowane 20 lat. Mnie to akurat objęło, to skorzystałam. W tym czasie jeździłam codziennie do Knuruwa do nowo otwartej Szkoły Życia. Zygmunt miał wspaniałą panią Anię Siedlecką, (która była świeżo po studiach i bardzo te dzieci pokochała,) cała klasa to była jak rodzinka.

- Co Pani czuła, kiedy została przewodniczącą Koła Gospodyń Wiejskich?

Byłam zaszokowana jak moja poprzedniczka (przez 20 lat była przewodniczącą Koła Gospodyń Wiejskich) przyszła do mojego domu i powiedziała: „Ty musisz zostać przewodniczącą, mom już dużo lot, nie mom już tela siły i werwy. Twoja mama była też przewodniczącą to dobrze wiesz co trzeba robić.”

Potem były wybory no i zostałam wybrana w 1999r. Zarząd też musiałam sobie wybrać żeby się dobrze pracowało. No i tak było. Moja koleżanka z lat młodocianych została moją zastępczynią. Pracowało mi się z nią dobrze i mogłam mieć do niej zaufanie i polegać na niej. Organizowaliśmy

różne wycieczki, krajoznawcze, kina, teatry, operetki. Zabawy także były organizowane, takie jak ostatki, babskie combry, dzień kobiet, dzień matki, sprawozdawcze zebrania.

Moje dziecko w ogóle mi w tym nie przeszkadzało, bardzo lubił chodzić ze mną. No i tak to było przez 15 lat potem zrezygnowałam i dałam pałeczkę młodszej.

- Wiemy też, że Panie trzykrotnie wygrały konkurs Śląskie Smaki.

No właśnie, to jest osobny temat „Śląskie Smaki”. Zmobilizowała nas do tego wtedy Pani Kierownik działu promocji Aleksandra Malczyk obecnie Dyrektor ARTerii Centrum Kultury i Promocji Ornontowice. Zorganizowała przejazd, stroje, wystroje, namioty itd. Pierwszy wyjazd był wielką wyprawą, ale opłaciło się, zdobyliśmy I miejsce, Złoty Durszlak w Ogrodzieńcu.

Przygotowałyśmy żeberka z ciapkapusta, zupa krupnik, no i na deser KOPA. Kopa to jest bardzo bogaty deser, składa się z placków pieczonych z kokosa, kremu z jajek i masła, ananasa, migdały, rodzynki namoczone w spirytusie, Jest to taki przekładaniec: placek, krem z bakaliami, ananas w kostka pokrojony, robi się ta kopa z trzech placków. Na koniec ozdabia się to śmietaną, ananasem i czekoladom.

Potem był drugi wyjazd do Cieszyna, też był złoty durszlak za chachor, szalot i kotlet z kością, kompot z banie, no i kopa. Ostatni wyjazd był do Pszczyny, rosół z gotowanej perliczki, swojski makaron z jajek perliczych, kalarepa na gęsto, ziemniaki, perliczka, kopa. To był ostatni wyjazd festiwalowy, bo więcej nie można było wygrać I miejsca. Potem było jeszcze dużo innych wyjazdów ze smakami i zawsze były nagrody. Były smaki regionów, kołocz, inne szpajzy i nalewki owocowe, to wszystko się działo za mojej kadencji.

- Jak powstał teatr i skąd wzięła się nazwa?

Do założenia teatru zmobilizowała nas sztuka, która wpadła nam w ręce Albina Siekierskiego, komedia „Domek z ogródkiem”. Zorganizowaliśmy aktorów amatorów z rodzin i kolegów, był to teatr jakby rodzinny. Wszystkim bardzo się podobały występy bo potem było jeszcze więcej występów, innych sztuk. Głównymi założycielkami byłam ja, Maria Bondza i Małgorzata Mrozek.

Teraz mamy prawdziwego reżysera, teatr się rozrósł, jeździmy na festiwale i zdobywamy same nagrody. Dlaczego NAUMIONY? Mieliśmy takiego aktora, to co próba nie nauczał się roli, roz przyszoł i powiedział „Jo już jest naumiony” no i została nazwa wybrano. Do tej pory jestem jeszcze aktywna w teatrze, gram dalej role, które do mnie pasują puki sił starczy.

Za te wszystkie prace zostałam uhonorowana statuetką z okazji 20 lecia gminy, a potem jeszcze „Ornontowickie Bzy” za całokształt i pracę społeczną.

Ornontowice zmieniły się bardzo, są piękne drogi, chodniki, ludzie dbają o obojętne, dostaliśmy sadzonki do ogrodu białe i niebieskie bzy. W zimie jeżdżą odśnieżać drogi i chodniki, zbierają śmieci i inne odpady. Jeździ autobus, choć teraz mają wszyscy auta. Według lat 60-tych to teraz jest jak dzień i noc.

Rozmawiała:
Bianka Moczulska

Lidia Szary

Mój dziadek był murarzem. Był odcytany, bardzo dobry, był bajarz.

ur. 14.08.1938 r. Ornontowice
Krawcowa, członkini Koła Gospodyń Wiejskich



Zdj. Lidia Szary

- Jak wyglądała pani dzieciństwo? Jak żyło się w tamtych czasach?

Urodziłam się w trzydziestym ósmym. To znaczy, że po wojnie zaczęłam chodzić do szkoły, do pierwszej klasy, w czterdziestym piątym roku. Dzieciństwo moje... byłam jedynaczką. Właściwie w tych czasach to, tu był okres wojenny. Ojciec właściwie nie był na wojnie, pracował na kopalni, a mama no w domu, jak to w tych czasach było, wszyscy byli w domu, ... gospodynie były w domu. No rodzeństwa nie miałam, ale miałam dosyć ciekawe, można powiedzieć, dzieciństwo, bo mieszkaliśmy w domu, w którym mieszkało pięć rodzin. Wtedy takie czasy były. To byłam wychowywana z kuzynostwem, wtedy było bardzo wesoło, był ogródek u babci, place, no i to tak, się bawiłam.

Mój dziadek był murarzem. Był odcytany, bardzo dobry, był bajarz. Bajarz prawdziwy był, bo on tyle nam naopowiadał, a babcia też. My wszyscy byli jak jedna rodzina. Te pięć rodzin mieszkało w jednym domu.

Babcia dwa wiadra piasku przyniosła i na ziemi sypała ... co tam było łyżki, kielnie, pokrywki - takie były zabawy. Ale takie małe dzieci trzylatki, cztero, to one się bawiły, ino to ta babcia ich pilnowała. A mamy [starsze dzieci] musiały iść do pracy do gospodarzy [...] Trzeba było kartofle zbierać, jak to na polu.

A dziadek, pamiętam go, fajka kurzył. Siedział koło pieca, do tej fajki to takie drzazgi robiły, my to nazywali „filipusy”, tako nazwa to już mało kto wie, jak to się nazywa. To są drzazgi takie ciniutkie, polonka tako, no i to podpalił do tej fajki, nabił.

[W domu] Był taki piec, my to wieszka nazywali, to było wyższe, w środku taki piekarnik, tam się nie piekło, tam się grzo-

ło. Jedno grankowe potrawy wtedy były. A na górze to se tam suszyli, żur kisiło. Prawie w każdym był piekarok. Na tym piekaroku były też po chlebie słomionki, brytfanki jak to się mówi. A potem jak się chleb upiekło, jak jeszcze to było ciepłe, to my tych gruszek naciepali do tego, albo jabłek. Pieczki my to nazywali, „pieczków nam dała z gruszek”. No i z tego robili potrawy. No my to nazywali „bryja”. To była bryja z tych pieczków. Ugotowali to, tutaj jeszcze zasmażyli czymś i mąką, zawiesina tako była i to było całe jedzenie.

Takie najczęstsze zabawy to były gumy – szło skakać na tych gumach, później piłki tam się odbijało. No a najczęściej, to było krycie się gdzieś tam... po chlewikach, jak to się mówi, po krzakach. Ale żeby tak konkretnie, żeby w domu siednąć czy usiąść, czy coś rysować – absolutnie tego nie było. Dzieci były rozwydrzone takie, ale nie było tych zadań aż tyle. Przez pół roku to mieli tabliczki i te rysunki tukej w szkole. Zeszytów nie było.

Każdy z górki na sanki, a jak nie, to się tam wzięło jaki worek, trochę słomy od babci ukradło, żeby z górki zjeżdżać. Najczęściej to się dzieci kryły, bawiły się w chowanego to była najlepsza zabawa. Dziewczynki to tam jakieś szmaciane lalki miały, to się też gdzieś troszeczkę pobawiły.

Pamiętom [z wojny], te płomienie, te pożary i te działania wojenne jeszcze, te czołgi jak jechali, to tak troszkę pamiętom to, ale później już tak głębiej już nie. Pamiętom jeszcze te spalone czołgi, te auta popalone. W pewnym miejscu były nawet szczątki ludzkie. Pociski my zbierali i chowali gdzieś pod mostek „na zaś”, żeby mieć jako dzieci. Wiele dzieci się pozabijało, bo to wybuchy różne były, pomysły mieli, żeby to zapalić, później wybuch był. Takie rzeczy były.

Najważniejszy we wsi był odpust. Odpust w Dębieńsku, kiedyś to był kościół parafialny, bo nasz zapodł się. Była pielgrzymka do Dębieńska, sztandary szły, figurki niosły, aż z orkiestrą się szło do kościoła do Dębieńska, to było bardzo ważne wydarzenie, to był kwiecień. I wszyscy chodzili do kościoła to było, np. Boże Ciało i Majowe to wszystkie dziewczyny szły na Majowe, żeby się z chłopcami spotykać. Czy Różaniec w październiku. Jeszcze jak dożynki były, to też było we wsi takie wielkie wydarzenie. No, ale to było bardzo uroczyste, inaczej niż to teraz, to tu na boisku, bo tu gdzie jest gmina [budynek urzędu gminy] to boisko było, się to wszystko odbywało. Tak właściwie to odpust i te dożynki to było najważniejsze we wsi.

Na wyleczenie... Na przeziębienie... to było najważniejsze wziąć dużo balia tako, do tego się wkładało owsiano słoma, dziecko do tej owianej słomy, kocem się przykrywało, mocno się wypociło to dziecko w tej owsianej słomie, zawijało się go i do łóżka. Miodu też raczej mało kto miał, to wtedy jakieś te brali, zbierali różne zioła: lipa, suszyli to i tak się leczyli, innych raczej nie.

Ale dla mnie to wtedy były szczęśliwe lata. Nie wiem jak to tutaj we wsi było, ale ja miałam wszystko. Myśmy się tam mieli dobrze. Nie mam tego porównania. W domu miałam bardzo kochających rodziców, uczciwie żyli i w zgodzie.

- Co Pani może powiedzieć o zamku, ma Pani jakieś szczególne wspomnienia związane z tym miejscem?

Później po froncie, po tym, przeprowadziliśmy się tukej, tu koło zamku. Ojciec był mechanikiem, właściwie był elektrykiem i całą wieś po prądzie elektryfikował. Pracował tutaj w tym zamku. Szkoła się załęgła już wtedy i przeprowadziliśmy się tam w wrześniu w czterdziestym piątym roku. Bardzo dobrze się mieszkalo, to przy samym zamku, to przy parku, no to ja byłam wtedy tam księżniczką na zamku. Tam cały dzień przebywałam na zamku. W tych czasach powojennych to było coś, przecież byłam „panią”. Jak to dzieci, też to troszeczkę wykorzystywałam. No, ale to były właściwie dla mnie bardzo miłe wspomnienia i dobre. Później wybudowaliśmy dom tutaj. Rodzice wybudowali dom na działce u mamy, to w pięćdziesiątym roku przeprowadziliśmy się na Kolejową.

Nim my tam jeszcze [w Ornontowicach] szkoła wybudowali, to te wszystkie lekcje, się odbywały w zamku. Były dwie sale, właściwie trzy sale, na dole duża sala, ta kominkowa, dwie obok, to tam lekcji udzielali. Było 27 uczni w pierwszym roku, jedni już po wojsku byli, to byli kawalerowie i mieszkali też w zamku. Jeszcze później tam jeden profesor, taki profesor Stroński, też tam mieszkał. No to tam już były panny dorosłe, a ja jako dziecko miałam wszędzie dostęp. Na wieżę wchodziło się, tam taka balustrada była, no to trzeba było obejrzeć całą wieś. No i tak miałam właściwie takie fajne dzieciństwo. Nauczyl mnie innej mowy i w ogóle obycia też. Jak jedzenie to trzeba było zasiąść. A tu jeździłam, jak dziesięcioletnie dziecko do teatru, do Wyspiańskiego, no to było bardzo dużo, jak na tamte czasy. Jak to teraz se wspomnę, to nawet to była i dobra szkoła. Umiałam się po prostu wysłowić.

- Jak wspomina Pani naukę? Jakie warunki do nauki wtedy panowały?

Siódmą klasę, bo ja mam siedem klas skończonych - bo wtedy było inaczej to już kończyłam tutaj w nowej szkole. Ale tak to tych dzieci to też nie było dość dużo, bo przecież ja chodziłam z trzema rocznikami do klasy. Bo po wojnie trzeba było te dzieci, które zaczęły przed wojną, to już umiały po niemiecku, no to po wojnie trzeba było zaś od nowa. A wtedy nie można było po polsku rozmawiać, język polski był zabroniony - się szło do Oświęcimia za to. No niestety takie były czasy. Ja chodziłam z trzema rocznikami, a najwięcej z trzydziestym siódmym. W klasie było dzieci około czterdziestu, to jeden na drugim, ciasno było. Pieców nie było, zimno było ... w zimie tośmy w płaszczach siedzieli. Cztery klasy były. A to w jednej klasie była biblioteka, to było tak, że w jednej szafie się wszystkie książki zmieściło.

Ja skończyłam szkołę podstawową, no ale to tak w tych czasach, miałam iść do liceum do szkoły. Poszłam do liceum pedagogicznego, z tym, że to było w Cieszynie, wszystko złożyłam w Cieszynie. Wtedy jeszcze była strefa graniczna, trzeba było przepustki tam mieć, w tych czasach. Nie skończyłam tego, bo w ogóle tam mnie [mama] nie puściła, bo była zapłakana, bo „gdzież tam dziewczyna pójdzie do internatu...” W tych czasach to była jeszcze rzadkość no i tak zostało. Później tak troszeczkę, jak to w domu, tu się robiło, tam się robiło, w tym Orzeszu, takie praktyki tam były wtedy. No prawie trzy czwarte roku tam byłam, no ale się to wszystko rozleciało, za dużo chcieli ode mnie, trzeba było do Orzesza dojeżdżać, tak się to skończyło. Potym wcześniej wyszłam za męża, no i takie te moje życie było.

- Pani haftuje. Taką smykalkę to można powiedzieć, że ma Pani po mamie?

Właściwie mama była krawcową, ja się udzielałam później, też haftowałam bardzo dużo. Ja jestem samouk też. Właściwie ja mam skończony kurs haftu i szycia, roczny kurs, ale ja już robiłam to, bo mnie się to zapodobało. Tutaj były Siostry Służebniczki i udzielały też panienkom ze wsi lekcji haftu, tak też chodziła tam moja ciotka. Więc ja tego bakcyła od niej mam, bo ona to robiła, mnie się to zapodobało, o to więc, też zaczęłam to robić. Jeszcze namalowałam se jakiś wzór, to już mi się podobało, bo żech se to zrobiła sama. Czternaście, piętnaście lot [miałam], zaczęłam to robić.

W późniejszych już latach, tak latach siedemdziesiątych, osiemdziesiątych nawet prowadziłam kursy haftów. Tutaj u nas w Kole Gospodyń, wszystkich wsiach, prowadziłam kursy haftu, nawet w szkole zajęcia świetlicowe... Dwa razy w tygodniu przychodziłam na zajęcia świetlicowe, to się dzieci cieszyły. Kupiłam muliny różne - takie nici do haftowania - to była nowość w tych latach osiemdziesiątych, koniec siedemdziesiątych.

Najciężej były osiemdziesiąte lata. To wtedy zaczęłam te sztandary robić. Moja koleżanka kupiła sobie materiał, nauczycielka, gdzieś tam, to: „Sprzedaj mi to, jo bych se zaczęła sztandar robić”. A nici to... później zapoznałam się z takim hurtownikiem z Bytomia, miał sklep i on mi przywiózł z Austrii nici srebrne, złote, na zamówienie, to u niego miałam. Tego w sklepach nie można było kupić. Ciężkie były czasy, te zdobywanie, co jo się nie zjeżdżiłam. Mój mąż pracował w Bielsku, te zakłady włókiennicze tam były otwarte jeszcze, to tyż tam trochę po znajomości dostałam te materiały, można coś było z tego wykombinować, bo tak to po sklepach nie było nic.

Te wszystkie stroje, które są w Ornontowicach, te „Marzanki” to jest moje dzieło, no i sztandary haftowałam. W naszym kościele jest sztandar też, który robiłam. Pięć sztandarów robiłam sama, no ale musiałam, zaprojektowałam to wszystko sama, no i później robiłam tak żeby to wyglądało jakoś. No roboty miałam cały czas.

Potem w latach już dziewięćdziesiątych, teraz po śląsku trzeba było mówić. Było takie lokalne Radio Fan w Knurowie, tośmy tam pół roku codziennie jeździli po śląsku godać, kawały, śpiewy, takie rzeczy, opowiadać.

Później jeszcze, no właściwie to się udzielałam bardzo dużo w tym Kole Gospodyń. [...]

Są takie te .. Śląskie Smaki. Gospodynie same, co wszystko potrafiły gotować, to trzeba było coś wymyśleć. No i zaczęłyśmy na te Śląskie Smaki jeździć. W 2006 roku były pierwsze. Ornontowicka Kopa to jest moje dzieło, zdobyło pierwsze miejsce wtedy. Później z rządu przez dwa lata jeszcze pierwsze miejsce, no potem nie mogliśmy już więcej występować jako indywidualnie, albo można było to jako profesjonalista, a co to ze mnie za kucharz jest i wzięli mnie, jako juror występowałam przez siedem lat. No a teraz mom już za dużo lot, żeby po prostu tym się dalej zajmować, ale jeszcze się tam udzielam w Kolach Gospodyń, tutaj troszeczkę coś robimy: haftujemy, naprawiamy, szyjemy.

Rozmawiała:

Karolina Wermińska

Zygfryd Kotyczka

Urodził zech sie w Ornontowicach 19 lutego 1929 roku

ur. 19.02.1929 r. Ornontowice
Absolwent szkoły muzycznej w Gliwicach
Organista w kościele Orzesze oraz Ornontowice



Zdj. Zygfryd Kotyczka

- No takie pytanie początkowe, ile ma Pan lat?

89 minyło, no a bydzie mi 90 w lutym na bezrok.

- Gdzie się Pan urodził?

Urodził zech sie w Ornontowicach 19 lutego 1929 roku, w tyj cienżkij zimie.

- Czy mieszkał Pan jeszcze gdzieś poza Ornontowicami w czasie swojego życia?

Nie, nikaj zech nie mieszkoł, yno trzi miesiące przy wojsku w Mielcu.

- Jakie było Pana dzieciństwo?

W doma nos było pięcioro rodzeństwa, czterech chłopców i siostra. Moje dzieciństwo jak na tamte czasy, przedwojenne było blank dobre, bo bylech nojmłodszy z bajtli, a ci starsi mi dogodzali. Moga jeszcze pedzieć, że jako bardzo małe dziecko cienżko zech zachorowoł, że było ze mną fest źle, ale Opatrzność sprawiła, że żyja do dzisioj.

- A co teraz Pan robi? Jakie ma Pan hobby?

Od trzynastu lot jezech na pyndziji. Przez 50 lot bylech organistom w Orzeszu, od 1 lipca 1955 do 30 czerwca 2005 roku. Grolech na wyjątkowych

organach. Organy te posiadają 40 głosów, inaczej registrów. Oprócz grania zajmowoł zech sie hodowla róż. Moja wielko pasja to tyż pszczelarstwo oraz uprawa jodły koreańskiej. Dwie jodły zakupiono do ogrodów w Berlinie.

Jak już zech wcześnij wspomnioł, moi rodzice Joanna i Ludwik doczekali się pięciorga dzieci. Najstarszy brat Paweł w wieku 10 lot został zapisany w Gimnazjum w Mikołowie, a jak skończył to poszoł studiować na Uniwersytet w Krakowie. Umioł dobrze godać po francusku i dostoł robota w firmie „Skarboferm” z siedzibą w Chorzowie. Dobrze zarobioł i umioł pomóc finansowo rodzinie, skuli tego, że ojciec był na ryncie (inwalida I wojny światowej). A jo w roku 1939 miolech iść do czwortyj klasy w Ornontowicach, ale wybuch II wojny światowejj wszystko zmienioł.

Pamientom jak 1 września kole godziny 5 rano, matka wpado do sypialni i godo: „Wy jeszcze w łózkach? Przeca wojna sie zaczęła!”. I my drapko wyskakujemy z łózek i na dwór, a w powietrzu samoloty, co my musieli kiedy czekać aż jaki fliger sam przeleci. Mimo wybuchu wojny moj brat Józef, kery był organistą razem z siostrą Agnieszką pojechali na kołach do kościoła na mszo i nabożństwo, bo to był pierwszy piontek. Po nabożństwie Józef zagroł jeszcze na koniec ku odwadze hymn Polski.

Było tyż, takie zdarzenie z początków wojny. Wyszoł zarządzenie z komendy, kero mieściła się w pałacu Hegenscheidta, aby z całej wioski z każdego gospodarstwa zgłosiła się jedna osoba do majątku dworskigo. Tam niemiecki oficer poinformowoł zebranych, że poprzednij nocy było słyhać strzelanie w Ornontowicach (prawdopodobnie wojsko polskie), ale podejrzenie padło na powstańców śląskich, tu słowa oficera niemieckiego: „Cała noc strzylali powstańcy i jak jeszcze jeden



Zdj. Joanna matka Zygfryda

padnie strzał, to co dziesiąty mężczyzna będzie rozstrzelany. Chodzioło o to by mieszkańcy Ornontowice przyznali się do posiadania broni, broni keryj nie mieli, a zaświadczył p. Waloszczyk urzyndnik majontu Hegenscheidta

(.....) i przysli do nos niemieccy żołnierze, aby zabrać łojca do punktu zbornego i go łosądzić. Moj łociec był na I wojnie światowej w wojsku pruskim, wienc nie musioł się obawiać o swój los, choć był uczestnikiem III powstania śląskiego. A łociec godo do tych żołnierzy tu cytat „jo chciołby, nim puda z domu, zagrac na fortypianie. ”Jo, matka i tych dwóch żołnierzy- jedyn z nich prawdopodobnie był z opolskiego bo godoł po polsku, drugi był Niemcem bo nic nie rozumioł tzn. naszej godki ślonskiej, stojmy koło fortypianu i słyhomy jak łojciec gro. W pewnym momencie pyto się jeden drugigo, co łon gro? Pada odpowiedź w jenzyku niemieckim „Ach to tako polsko piosynka”, „A to niech gro”, a był to hymn Polski.

Chciołbych jeszcze opowiedzieć, jak różaniec uratowoł życie polskimu policjantowi w czasie II wojny światowej. Jest to relacja Franciszek Głucha, kery zostao zatrudniony na posterunku policji w Orzeszu jako dzielnicowy w Ornontowicach w czasach II Rzeczypospolitej. Franciszek Głuch urodzioł się w Łanach Wielkich koło Gliwic w 1892 r. W młodości pracowoł w jednej z kopalń w Zabrze. W czasie I wojny światowej, w tejsze kopalni robili razem z nim jeńcy wojenni z armii rosyjskiej. Byli wśród nich młodzi jeńcy godający po polsku z terenu Zachodniej Ukrainy. Do roboty przylazili zawsze głodni. „Kiedy jedliśmy śniodanie przyniesione z doma widziolech ich głodne łoczy. Dzielilech się z nimi moim skromnym posiłkiem. W tym czasie panowała Na wsi, w gospodarstwie był chlyb, a więc nie cierpieleł głodu. Pewnego dnia zaprzyjaźniony ze mną jeniec rosyjski poprosioł mnie dyskretnie o różaniec. Spełnił zech jego prośba i podarowałech mu różaniec. Pewnie był katolikiem” - wspominał Franciszek. Kiedy wojna się skończyła jeńcy rosyjscy rozjechali się do swych rodzin. Franciszek tyż udoł się do swoigo domu w Łanach Wielkich. Po plebiscycie na Górnym Śląsku jego teść, szykanowany za udział w powstaniach, sprzedoł gospodarstwo i poszoł mieszkać wraz z rodziną do Orzesza. Franciszek zostao zatrudniony w orzeskiej policji i był dzielnicowym w Ornontowicach. Poznoł sam wiela ornontowiczian, z kerymi utrzymowoł znajomość nawet po skończeniu II wojny światowej. Kedy zbliżoł się tragiczny wrzesień 1939 r., policjanci otrzymali polecenie z Komendy Wojewódzkiej Policji - mieli się udać do Lwowa. Po inwazji Rosjan na Polskę 17 września 1939 r. wszyscy polscy policjanci zostali zatrzymani przez NKWD i poprowadzeni dalej na wschód. Na pierwszym postoju jeden z pilnujących żołnierzy podszedł do Franciszka i zapytał go o nazwisko. Wtedy żołnierz powiedział: „Poznajesz mnie Franciszku?”. „Nie, nie



Zdj. Rodzice Zygryda

poznowom cie” „W czasie I wojny światowej pracowałem na kopalni w Zabrze, a ty przynosiłaś mi chleb. Przypominasz sobie?” Jednak Franciszek nadal nie rozpoznał dawnego znajomego. Żołnierz przypomniał mu wtedy o różańcu, kery otrzymał. Dopiero wtedy Franciszek go rozpoznał... Godka między nimi była krotko.. Żołnierz powiedział mu tak: „Jesteście w wielkim niebezpieczeństwie. W nocy przyjdę po ciebie z rosyjskim mundurem. Ubierzesz go i wyjdiesz ze mną.” Tak też się stało. Rosyjski żołnierz wyprowadził policjanta za bramę i ten był wolny. W ten sposób uchronił go od śmierci, kero spotkała pozostałych policjantów w Katyniu. Zmarł w 1984 r. Jak wspominał, w Ornontowicach bywał często. Ta wzruszająca historia pan Głuch pedziol na plebani w Orzeszu w obecności księży i mojej, ówczesnego organisty.

- A teraz wracając już do tych organów i do tego jak pan grał w Orzeszu to, czy w Orzeszu była też taka sytuacja jak tutaj w Ornontowicach?

Organy w Orzeszu były jedne z dziesięciu największych organów na Śląsku, na 40 głosów. Organy mają wysokie piszczałki na cztery metry i trzy klawiatury.

- Ja mam jeszcze takie pytanie, czy wprowadzał pan jakieś pieśni w kościele?

Po wojnie wraz z bratem, Pawłem w Ornontowicach przypominali my ludziom polskie pieśni kościelne bo w czasie okupacji w kościele śpiewali my po niemiecku.

- A jakieś były podstawowe ? A jaka była w ogóle pierwsza pieśń, która tam powstała?

Pieśni były takie jak były przyjnyte w kościele Maryjne, do Serca Jezusowego, potem kołyndy się ćwiczyło, Wielkanocne, na łodpust Św. Michała, kery jest naszym patronem. I tak to wyglondało z tym granie.

- No to tak już, jakie życie po wojnie? Życie parafian tutaj w Ornontowicach i w Orzeszu?

Po wojnie jakoś my zaczęli poleku żyć, mieli mało gospodarka – krowa, kury, kaczki konsek pola. Jo groł jeszcze w Ornontowicach, a od 1955 w Orzeszu. Zajmował zech się uprawą róż, pszczołami potem zech założył szkółka jodeł koreńskich. W 1959 r. łożynił zech się, mom troje dzieci, doczkoł zech się 6 wnuków i 4 prawnukow.

Wspomna jeszcze że w 1968 r. bralimy z małżonką udział na międzynarodowej wystawie róż w Chorzowie i zajyli my tam 3 miyjsce, dostali my bronzowy medal. Do mie to był wielki sukces.

- Dziękuję panu bardzo za tą rozmowę, historie i ciekawostki, których się dowiedziałam były bardzo ciekawe, ale musimy już kończyć

Jo też bardzo dziynkuja.



Zdj. Dyplom „Brązowa Róża”

Rozmawiała:
Patrycja Garus

Henryk Swoboda „Przejmij po mnie te funkcję”

Henryk Swoboda
ur. 10.05.1933 r. Ornontowice,
Zawód: Kolejarz
Członek Chóru, Pszczelarz



Zdj. Henryk Swoboda

- Proszę opowiedzieć coś o swoim dzieciństwie, czym się Pan zajmował, jakie szkoły skończył?

Pamiętam mając 4 latka mój dziadek przed śmiercią trzymał mnie na kolanach i powiada tak: „Przejmij po mnie te funkcję”. Dziadek był pierwszym naczelnikiem tutaj w Ornontowicach.

Jeśli chodzi o szkołę to po ukończeniu podstawowej wstąpiłem do harcerstwa, i tam była taka moja działalność. Z tego okresu jest nawet nasza broszurka. Mając 13 lat dużo robiłem na probostwie i kiedy spalił się klasztor, niektórzy z mojego rocznika pomagali w jego odbudowie. Głównie czyściliśmy cegły i jako murarze pracowaliśmy. Później przysły takie lata, że trzeba było szkołę kończyć. Najpierw poszedłem do ogólniaka do Mikołowa, ale mnie się to nie podobało, chciałem w życiu zawód zdobyć. Potem byłem w szkole przemysłowej w Mikołowie, tam uprawiałem piłkarstwo i trochę boks. No i później po ukończeniu tej szkoły zawodowej chodziłem do Gliwic, do technikum chemicznego, na wydział mechaniczny.

Później przyszło wojsko, no i po wojsku dostałem się do Wrześni, później do Gniezna, no i tam znów ciągnęło mnie do sportu, i tam w klubie sportowym w Gnieźnie uprawiałem boks.

- Czym zajmował się Pan po szkole?

W '57 roku ożeniłem się. W tym czasie przewodniczący rady, można powiedzieć ówczesny wójt Jan Widuch zaraził mnie takim bakcylem społecznym. Przez 33 lata byłem radnym, pełniąc różne funkcje w tym czasie, najpierw przewodniczącym komisji zdrowia, później byłem wiceprzewodniczącym, gminnej kadry narodowej. Przez ten czas pełniłem aż 11 funkcji społecznych. Może zacznę od... Nie wiem czy dobrze to tak mówię, bo wie Pani to już jest wiek, ale dużo

tak jeszcze spamiętam. Przede wszystkim zająłem się działalnością kulturalną w tym ośrodku, bo tu była świetlica, dom kultury tak to się kiedyś nazywało. Prowadziłem zespół teatralny, który założyłem i graliśmy takie klasyczne sztuki jak „Balladyna”, „Mazepa”, „Domek z ogródkiem”, „Dramat Joli”, czy „Wesele na Górnym Śląsku”. Reżyserowałem te wszystkie spektakle przy pomocy, bo miałem takie możliwości, że przyjeżdżali z Katowic, pomagali, tzn wskazywali błędy i tak dalej. Moją pasją była też przyroda, ona była ze mną od dzieciństwa i z tej pasji powstało pszczelarstwo. I tutaj kulał taki związek pszczelarski, który był niereaktywowany, w przyszłym roku obchodzi stulecie. I tak w czasie okupacji podupadł, potem odnowił, znów podupadł. W '68 roku za namową wojewódzkiego związku wziąłem i utworzyłem ten związek ponownie, i chce powiedzieć że miałem rekordowy wynik bo ponad 80 członków. Zaraz potem wziąłem się za hodowlę matek pszczelich i do dzisiaj ją prowadzę, jestem znanym hodowcą w Polsce. Po jakimś czasie zostałem prezesem Wojewódzkiego Związku Pszczelarzy w Katowicach, którego członkowie prosili mnie bym pomógł im wyjść z kłopotów i tak przez 8 lat byłem tam prezesem. Na zjeździe zmieniliśmy statut, by koła mogły należeć do wojewódzkiego związku i to jest taka moja zasługa.

Utworzyliśmy również tutaj społeczną radę, która tworzyli wszyscy prezesi kół które były w Ornantowicach. Miała na celu skumulować wszystkie te organizacje, żeby się spotykały raz na pół roku. Ustaliliśmy program wsi, co się będzie działo. Tam też wybrali mnie na Przewodniczącego Społecznej Rady. I organizowaliśmy w parku takie koncerty co niedzielę, tzn. z taśm puszczaliśmy muzykę, była strzelnica, kiosk z napojami oraz podium. Na ówczesne czasy to było coś dla młodzieży. Okoliczne wsie na, zazdrościły, że u Nas w parku tyle się działo dla środowiska. Wszystko tworzyliśmy sami. Z tego mieliśmy też trochę zysku. Z tych pieniędzy i tego co gmina dorzuciła w czynie społecznym rozbudowaliśmy ten budynek (ARTerii).

- Jak zmieniły się Ornantowice w tamtym czasie?

Pamiętam jak w '45 roku ta sala (ARTerii) się wypaliła. W czasie działań wojennych jak Rosjanie naciskali od Gliwic, to tutaj było wojsko Niemieckie i spali na tej sali na słomie. Rosjanie przyszli od tyłu, Niemcy zdążyli uciec ale na scenie wisiał orzeł niemiecki. Kiedy Rosjanie go zobaczyli zaczęli do niego strzelać i od tego się to zapaliło.

My jako koło pszczelarskie to po odbudowie tej sali zorganizowaliśmy pierwszą zabawę, sylwestra. Był tylko beton, na środku stał piec, każdy przyniósł coś do jedzenia, ja miałem magnetofon i tańczyliśmy. Pamiętam tylko że tańczyliśmy tak do rana, że aż niektórzy zolówki stracili, wszystko wytarli.

Później zająłem się budową stadionu, który tutaj teraz jest, bo tam wcześniej była łąka. We wsi były straszne sprzeczki ale jakoś to przetrwałem i jakoś to się budowało dzięki przychylności wójta Gierałtowic, bo myśmy wtedy pod nich należeli. No i ten stadion powstał. Zawiązaliśmy klub sportowy Gwarek, prezesem był Szmit, ja byłem sekretarzem. Po śmierci prezesa ja nim zostałem.

W '85 roku przyszedł nowy proboszcz ks. Śledziona i zaproponowałem mu by utworzyć tutaj chór kościelny, ksiądz powiedział że nie widzi przeszkód, no i założyłem chór „Wanda Ornantowice”.

- Czy potrafi Pan wybrać jedno słowo, które jest dla Pana szczególnie ważne?

Wszystkie te rzeczy robiliśmy społecznie i młode pokolenie powinno doceniać tych co zrobili coś dla społeczeństwa. Myśmy to w trudnych warunkach robili i tych ludzi trzeba docenić.

Pokaż a nie krytykuj, zrób a później będziemy dyskutować. Chce powiedzieć jedno: Dziękuję serdecznie mojej żonie, która to ścierpiała, bo przy takich pracach społecznych rodzinę się trochę zaniedbuje.

Przypatruje się teraz pewnym rzeczom i nie raz człowieka to tam zaboli, bo nie jest to tak jak powinno być. Mnie się wydaje, że za dużo jest wściekłości, jeden do drugiego. Albo za dobrze się ma to społeczeństwo.

Rozmawiała:

Natalia Rabus

Andrzej Kotyczka

Najgorszy był okres, kiedy kopalnia nie fedrowała

ur. 26.07.1945 r. Ornantowice

Inż. elektryk, dozór górniczy

Działacz sportowy,

Członek Towarzystwa Miłośników Ornantowic



Zdj. Andrzej Kotyczka

- Gdzie pan się urodził?

Urodziłem się w Ornantowicach w lipcu 1945 roku.

- A jak wyglądało Pana dzieciństwo?

Urodziłem się 1945 roku w Ornantowicach, ojciec Stefan był właścicielem restauracji, którą przejął po śmierci dziadka Paula. Matka Ema z domu Kwapulińska pochodziła z Królówki koło Żor i jako młoda dziewczyna często przebywała na probostwie w Ornantowicach, gdzie proboszczem był jej stryj Juliusz Kwapuliński. Dzięki temu poznała mojego ojca. Ja urodziłem się w mieszkaniu nad restauracją przy obecnej ulicy Zwycięstwa, którą mój dziadek kupił w latach trzydziestych od Żyda Szydłowskiego. Po wojnie był tam bar Oaza, w którym mój ojciec był kierownikiem podległym Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska, później Robotniczej Spółdzielni Zaopatrzenia i Zbytu w Orzeszu. Aktualnie jest tam Apteka św. Stanisława. Jako mały bajtel większość czasu przebywałem w sąsiednim budynku zwanym magazynem u piastunki Francki, albo w barze, gdzie pracowali moi rodzice. W magazynie mieszkał też mój najlepszy kolega Stefan, w którym chodziłem

za cmentarz wyszukiwać porzucone w czasie wojny pociski karabinowe. Z tych pocisków wyciągaliśmy woreczki z prochem, które zapalone głośno wybuchały i straszły kobiety z magazynu. Często z kolegą czatowaliśmy pół dnia w rowie na przejeżdżający motor, żeby obrzucić go kamieniami i szybko uciekać do magazynu. Chyba czuwał nad nami anioł stróż, bo nic się nam nie stało. W końcu matka straciła cierpliwość i zapisała mnie do szkoły prowadzonej przez siostry Służebniczki NMP w Ornantowicach.

- A czasy szkolne, Jak to wyglądało?

Czasy szkolne to najpiękniejsze lata. W szkole podstawowej miałem wspaniałych nauczycieli, którzy nie tylko uczyli ale również wychowywali. Moją wychowawczynią była pani Janina Ostafin, która uczyła języka polskiego, matematyki uczył pan Tadeusz Skrobacz, zaś fizyki Zygmunt Adamczyk. Po ukończeniu podstawówki mama zapisała mnie do Liceum im. Karola Miarki w Żorach. Czemu akurat do Żor? Bo był bezpośredni pociąg z Ornantowic, a moja mama też uczyła się przed wojną w tym liceum. Liceum skończyłem z wyróżnieniem i bez problemu dostałem się na Wydział Elektryczny Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Z czasów licealnych najmilej wspominam i wiele zawdzięczam mojej wychowawczyni i pani profesor języka polskiego pani Renacie Szeligowej. W roku kiedy kończyłem szkołę podstawową i zaczynałem naukę w liceum spotkała moją rodzinę tragedia. Za sprzedaż pół litra wódki w dzień wypłaty, a taki wtedy obowiązywał zakaz, ojciec, kierownik baru Oaza, trafił na 7 miesięcy do więzienia. Była to prowokacja zorganizowana przez jednego z najbogatszych mieszkańców Ornantowic i częstego gościa w barze. Wysłał dwóch rzekomych rezerwistów z wojska po zakup wódki i zawiadomił milicję. Kiedy rezerwiści wyszli z wódką za rogiem czekali już milicjanci. Ponieważ był dowód przestępstwa to ojca zakuli w kajdanki i zawieźli na posterunek do Orzesza. Nastąpiła dla mojej rodziny ciężka chwila, ojciec w więzieniu, matka bez pracy i tylko dzięki pomocy najbliższej rodziny udało się przetrwać.

- Jak wyglądała ta praca? Od czego Pan zaczynał?

Zgórnictwem zetknąłem już w młodych latach. W sąsiednich miejscowościach były same gruby i większość ojców moich kolegów szkolnych fedrowała na kopalni. Byli to tak zwani chłoporobotnicy. W nocy fedrowali nadole, w dzień pracowali na polu. Kopalnię zobaczyłem już w wieku szkolnym. Podczas podróży pociągiem z Ornontowic do Gliwic była przesiadka na stacji Zabrze Makoszowy. Pamiętam, jak mama powiedziała do mnie, wskazując na widoczne szyby kopalni Makoszowy: „Synku, ucz się, bo jak się nie będziesz uczył, to pójdziesz na gruba”. Więc uczyłem się z całych sił. Szkołę podstawową ukończyłem z wynikiem bardzo dobrym, maturę zdałem z wyróżnieniem i bez problemów dostałem się na Wydział Elektryczny Politechniki Śląskiej. Na trzecim roku studiów, ze względu na trudną sytuację rodzinną - ojciec po odbyciu kary więzienia stracił pracę w restauracji, matka zaś była bez pracy i chorowała - podpisałem umowę stypendialną z kopalnią Makoszowy. Otrzymałem wtedy stypendium około 500 zł przez 3 lata, a w zamian byłem zobowiązany tyle samo lat odpracować na kopalni. Studia ukończyłem w 1969 roku, uzyskując tytuł mgr inż. elektryka i od razu rozpocząłem pracę w dozorze elektrycznym kopalni. Na początku na powierzchni kopalni w oddziale elektrycznym, ale po paru miesiącach zostałem wezwany do dyrektora, gdzie mi oznajmiono: „Pójdź pan na dół”. Pamiętam pierwsze chwile tego pobytu na tym dole kopalni, to było coś strasznego. Wszędzie ciemno, w niektórych miejscach trzeba się było czołgać, cały czas bałem się czy na głowę mi coś nie spadnie. Strach nie z tej ziemi i wtedy mój opiekun powiedział: „Pamiętajcie inżynierze, na dole trzeba mieć oczy i w rzyci. Zostałem więc skierowany do działu maszyn dołowych, gdzie przepracowałem ponad 27 lat. Na kopalni przeszedłem wszystkie szczeble kariery zawodowej, od sztygara oddziału elektrycznego aż do stanowiska głównego mechanika maszyn dołowych. Każdy awans na wyższe stanowisko był warunkowany zdaniem egzaminu w Okręgowym Urzędzie Górniczym i co najmniej rocznym stażem na poprzednim stanowisku. Dlatego nie mogę zrozumieć, że teraz byle jaki wójt z Pcimia może zostać prezesem dużej państwowej spółki bez odpowiednich kwalifikacji. Nieprawdą była fama, że awans był zależny od wstąpienia w szeregi PZPR. Ja zostałem członkiem partii, pełniąc już funkcję głównego mechanika. Pamiętam, jak zagadnął mnie sekretarz oddziałowej organizacji partyjnej z propozycją wstąpienia w ich szeregi. Na moją uwagę, że chodzę do kościoła, odpowiedział. „Szefie, ja jest pierwszym sekretarzem partii, a chodzę z baldachimem podczas procesji Bożego Ciała. Co jest boskie, to Bogu, a cesarskie cesarzowi”. Do partii zapisywałeś się głównie kadra inżyniersko-techniczna. Na kopalni pracowałem sumiennie, wszystkie soboty i przynajmniej 2 niedziele, bo uważałem to za swoją powinność wobec mojej ojczyzny i rodziny. I teraz jakiś Prezes opowiada, że służyłem komunie, że stałem tam, gdzie ZOMO. A co miałem zostawić żonę z trójką dzieci, pójść do lasu i zostać żołnierzem wyklętym? Paranoja!!!

Jako szef działu byłem odpowiedzialny za pracę wszystkich urządzeń energomechanicznych na dole kopalni. Funkcję tę pełniłem przez 17 lat (1976-1993). W szczytowym okresie fedrowała na kopalni Makoszowy 10 oddziałów wydobywczych i 4 oddziały robót przygotowawczych, czyli łącznie urabiało węgiel 10 kombajnów ścianowych i 4 kombajny chodnikowe. Urobek z przodków był transportowany przenośnikami taśmowymi do stacji załadowniczych, gdzie był ładowany do wozów i transportowany elektrowozami pod szyb. W ścianach stosowano wtedy obudowy zmechanizowane typu Glinik, Fazos. Funkcją głównego mechanika maszyn dołowych była w latach 1976-1986 jedną z najtrudniejszych funkcji na kopalni. Dopiero w 1986 roku wprowadzono podział na dwa dołowe działy



Zdj. Andrzej Kotyczka w mundurze galowym

maszynowe. Pamiętam, że w tym okresie byłem praktycznie cały dzień na kopalni. Pracę rozpoczynałem już o godzinie 6.00 rano, a do domu wracałem około 18.00. Ledwo zjadłem podgrzewany obiad i prawie zasypiałem, to często około 20.00 dzwonił telefon i dyspozytor ruchu przekazywał: „W oddziale wydobywczym jest awaria kombajnu i dyrektor polecił, żeby pan osobiście dopilnował naprawy”. Albo o 3.00 nad ranem dzwoni dyspozytor: „Na dole był wypadek, górnik siedział na przekopie i elektrowóz przejechał mu nogi. Ma pan zaraz przyjechać na kopalnię”. Ja mu odpowiadam, że to nie mój pracownik, tylko z działu górniczego. „Ale elektrowóz podlega panu” – odpowiada dyspozytor. Więc wsiadałem do samochodu i pędziłem na złamanie karku na kopalnię.

Z utęsknieniem czekałem na święta, by trochę odpocząć, ale niestety, nie było mi dane. Pamiętam któreś Święta Wielkanocne, na naradzie dyrektor przekazał polecenie: „Idą święta, kopalnia nie fedruje, trzeba wymienić kombajn w oddziale GIV. Inż. Kotyczka, zorganizuje Pan ludzi i osobiście dopilnuje wymiany”. Najgorszy był okres, kiedy kopalnia nie fedrowała, czyli nie wydobywała planowanych ton węgla. Wtedy narady główne u dyrektora kończyły się pyskówkami i szukaniem winnych. Górnicy zawsze wskazywali na dział energomechaniczny, który „czegoś” nie zapewnił. Na pytanie dyrektora skierowane do kierownika działu górniczego: „Emil, czemuś nie nafedrował planowanych 200 wozów?”, ten odpowiadał: „Bo mi inż. Kotyczka nie dał prądu”. Albo pyta na kolejnej naradzie kierownika robót przygotowawczych: „Helmut, gdzie jest planowany postęp chodnika na GR-ach?” Ten odpowiada: „Była awaria kombajnu Alpina, i inż. Kotyczka go pół szychty naprawiał”. I tak było do 1986 roku. W tym czasie kopalnia fedrowała w wszystkie dni w tygodniu, a niedziele były co najmniej dwie planowe w miesiącu. Co z tego, że dobrze zarabiałem, że były sklepy górnicze, jak nie było kiedy korzystać z tych profitów. Wiecznie do roboty. Nawet urlopu nie mogłem dostać w lecie, bo kopalnia z powodu braku załogi fedrowała poniżej planu.

Za sumienną i długoletnią pracę otrzymałem odznaczenia: Sztandar Pracy II klasy, Złoty Krzyż Zasługi, Zasłużony Ratownik Górniczy, Zasłużony Racjonalizator Produkcji, Przdownik Pracy Socjalistycznej oraz uzyskałem tytuł Dyrektora Górniczego III st. Byłem autorem wielu projektów racjonalizatorskich i patentów usprawniających pracę urządzeń górniczych na dole kopalni. W 1997 roku przeszedłem na emeryturę. Po kopalni otrzymałem w spadku zszargane zdrowie, siwe włosy, mundur górniczy, szpadę oraz wielu przyjaciół – byłych moich podwładnych pracowników, którzy dalej zwracają się do mnie: „Witamy Was, Szefie!! Jak zdrowie? Fajnie wyglądać!!” I tak się skończyła praca na kopalni, a zaczęło się życie na emeryturze. Na koniec przypomnę parę słówek używanych na dole kopalni, czyli coś z gwary górniczej.

Jedynym i powszechnie stosowanym pozdrowieniem na dole kopalni było i chyba jest „Szczęść Boże” Tak pozdrowiał nawet dyrektor kopalni zwykłego górnika. Czapka stosow na do munduru galowego, czyli czako mogła mieć pióropusz w kolorach: czarny – górnik, biały – dozór, czerwony – orkiestra, zielony – dyrektorzy. Inne określenia: haszpel – kołowrót, suka – wóz z kłonicami, druciorz - elektryk, kapa – stropnica, felezunek – podział robót, panczer – przenośnik ścianowy, śleper – ładowacz (najniższy stopień górnika), szychta – dniówka, marka – znaczek, identyfikator górnika, hercowa – łopata do węgla, gruba – kopalnia, hajer – górnik strzałowy, cughup – wciągarka lancuchowa. I na koniec typowa gwara górnicza: Chyc ta suka za jaja i wciepnij jom na glajzy, bo jak sie sztajger dowie, że cało szychta sie opierdalałeś, to bydziesz miał przesrane. Każdy górnik wie o co chodzi??



Zdj. Główny Mechanik na dole kopalni

- Stan wojenny. Jak Pan to wspomina?

13 grudnia 1981 r. wprowadzono stan wojenny. Dla mnie jako osoby z kierownictwa kopalni wprowadzenie tego stanu było pewną ulgą. Strajki wybuchały w całej Polsce, nie fedrowały kopalnie, brakowało benzyny, a zbliżała się ostra zima. Spora część społeczeństwa oczekiwała, że spełnią się zapowiedzi realizatorów stanu wojennego i w miejsce konfliktów i anarchii zostanie wprowadzony ład i porządek. Pamiętam, jak któregoś dnia dyrektor zwołał naradę i mówi: „Zróbcie coś, żeby kopalnia fedrowała, bo dzwonią z elektrowni Opole, że mają zapasy węgla na wyczerpaniu. Jak dalej nie będziemy wysyłać węgla, to wygaszą piece i nie będzie prądu na pół Śląska”. Pamiętam kiedy rozpoczął się strajk w Jastrzębiu przybiegl

do mnie znajomy spawacz i powiedział: „Szefie, dajcie mi wolne, bo jadę na Jastrzębie i będę tych białych wieszać!! A ja mu na to: „Emil, przecież ja też jestem biały, i mnie też powieszysz?” Po chwili jak ochłonął rzekł: „Nie, chyba wrócę do domu, nie jadę na Jastrzębie”.

Po wprowadzeniu stanu wojennego otrzymałem specjalną przepustkę zezwalającą na podróż z domu na kopalnię i z powrotem. Na kopalni urzędował pułkownik, któremu podlegał nasz dyrektor. Nareszcie zapanował porządek i normalne życie. Kopalnia normalnie fedrowała, poprawiło się zaopatrzenie, nie było przerw w dostawach prądu, pociągi normalnie kursowały. Generalowi Jaruzelskiemu należy się wieczna chwała za to, że oddał władzę bez rozlewu krwi w ramach względnie wolnych wyborów. Zaś tego przywódcę strajku na kopalni Wujek, który posłał górników z kilofami i dzidami na czołgi, powinni dawno pociągnąć do odpowiedzialności.

- Klub sportowy Gwarek Ornontowice? Co może Pan opowiedzieć?

Mój charakter społecznika uwidaczniał się od najmłodszych lat. Byłem wójtem klasy w podstawówce, potem w liceum, a na studiach działaczem Związku Studentów Polskich. Uprawiałem czynnie sport w LZS Ornontowice, po zakończeniu kariery zostałem działaczem. Po studiach rozpocząłem pracę na dole kopalni i nie było czasu na działalność społeczną. Tuż po przejściu na emeryturę, ponownie włączyłem się w ruch sportowy. W 1996 r. zostałem skarbnikiem klubu sportowego „Gwarek” Ornontowice, zaś od 2005r. do 2011 r. pełniłem funkcję prezesa klubu. Od 2013 r. jestem członkiem komisji rewizyjnej i kontynuuję działalność społeczną na rzecz upowszechniania ruchu sportowego w Ornontowicach. Najbardziej dumny jestem z tego, że za mojej kadencji jako prezesa klubu Gwarek Ornontowice awansował w 2008 roku do IV ligi. Dużym sukcesem było doprowadzenie w 2004 r. do uzyskania przez klub statusu organizacji pożytku publicznego. Za mojej kadencji udało się pozyskać środki finansowe z takich instytucji jak: Polsko-Amerykańska Fundacja Wolności „Działaj lokalnie” oraz Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej w ramach Programu Operacyjnego FIO. Ponadto nawiązano współpracę z klubem

francuskim w miejscowości Camon, gdzie młodzież z Ornontowic od 2002 r. corocznie wyjeżdżała na turnieje piłkarskie 14-latków do Francji. Również udało się organizować wymianę sportową z klubami niemieckimi, która była finansowana przez Polsko-Niemiecką Współpracę Młodzieży.

- Wiem, że też pan podróżował i jaka była najciekawsza podróż?

O to też jest ciekawy temat. Ja w chyba miałem w genach podróże. Moje wojaże zagraniczne zaczęły się już w czasach studenckich. W tamtych czasach, czyli w latach 60-tych można było tylko podróżować do krajów socjalistycznych. Mnie udało się zakwalifikować na studencki obóz pracy do Anglii. Byłem tam miesiąc czasu i przy okazji odwiedziłem mojego wujka, który został po wojnie

w Cardiff jako żołnierz gen. Andersa. W latach osiemdziesiątych pojechałem pociągiem przyjaźni do Związku Radzieckiego, opalałem się plażach Morza Czarnego w Bułgarii i nad jeziorem Balaton na Węgrzech, a nawet zwiedziłem daleką Mongolię, dokąd podróż pociągiem przez Syberię trwała 6 dni. Duży szok przeżyłem podczas zwiedzania Ulan Bator, kiedy po opuszczeniu hotelu udaliśmy poza centrum miasta. Tam zobaczyliśmy prawdziwą Mongolię. Były tam miasteczko złożone z setki namiotów zw. jurdami. Bo rdzenni Mongołowie żyją w namiotach, z którymi przenoszą się razem z stadem lam czy kóz. Wzdłuż namiotów płynęły ścieki, bo nie było kanalizacji. Wszystko otoczone wysokim płotem, by żaden turysta tego nie zobaczył.

Jako przedstawiciel dyrekcji kopalni Makoszowy byłem zaproszony z całą rodziną przez macedoński klub sportowy do Titow Weles w Jugosławii. Tamtejszy klub utrzymywał kontakty sportowe z Walką Makoszowy, która była sponsorowana przez kopalnię Makoszowy i stąd to zaproszenie. W następnych latach zwiedziłem samochodem całą Grecję i Turcję, nocując na polach namiotowych. Wtedy nie można było legalnie kupić waluty do krajów kapitalistycznych i trzeba było brać żywność i towar na handel. Największy był stres na granicy podczas kontroli celnej. Zawsze była obawa, czy uda się przeszmugłować towar bez wpisywania go do deklaracji.

Obecnie, będąc na emeryturze, kontynuuję podróże zagraniczne. W 2006 r. byłem na wczasach w Wenezueli na wyspie Margarita. Podróż samolotem z lotniska we Frankfurcie trwała 12 godzin. W Wenezueli miałem okazję zobaczyć najwyższy wodospad świata - Salto Angel (979 m). Dwa lata później udałem się na wczasy na Dominikanę. Co dwa, trzy lata jeżdżę do Chorwacji, gdzie zawsze jest zapewniona słoneczna pogoda. W tamtym roku byłem na Cyprze. Jest to wyspa podzielona na dwa niezależne kraje: Cypr Północny pod okupacją turecką oraz Cypr Południowy, na wskroś grecki. Wszędzie możemy cieszyć się cudownymi, rajsłkimi widokami białych plaż okalających błękitne wody. Bardzo lubię wczasy nad polskim morzem. Jak tylko to możliwe jedziemy w czasie wakacji z wnukami do Pustkowa koło Rewala, gdzie mieszkamy w domkach kempingowych. Polskie plaże są cudowne, tylko ta zimna woda w Bałtyku.

- To na koniec jakie słowa były kiedyś szczególnie ważne?

Są takie słowa, które są dla mnie szczególnie ważne.

KATYŃ

Katyń – miejsce kaźni, gdzie Sowieci rozstrzelali ok. 4400 polskich jeńców wojennych. Był to akt ludobójstwa, dokonany wiosną 1940 roku przez funkcjonariuszy NKWD na polskich jeńcach wojennych przetrzymywanych w sowieckich obozach zagłady. Kilka lat temu dowiedziałem się, że kuzyn mojego dziadka Paweł Kotyczka był funkcjonariuszem Policji Województwa Śląskiego II RP i został zamordowany w Katyniu. Spoczywa w dołach śmierci w Miednoje. Aby poznać jego losy zostałem członkiem Stowarzyszenia Rodzina Policyjna 1939 r. Celem tej organizacji jest ujawnienie prawdy o losach policjantów śląskich w okresie II wojny światowej oraz pielęgnowanie ich pamięci.

TRAGEDIA GÓRNOŚLĄSKA

Tragedią Górnośląską określamy represje i wywózki mieszkańców Śląska, głównie górników, do Związku Radzieckiego pod koniec stycznia 1945 r. Na podstawie zebranych informacji wiemy, że wśród deportowanych do Rosji było co najmniej 33 mieszkańców Ornontowic. Górnoślązacy pracowali w fabrykach, kołchozach i kopalniach Zagłębia Donieckiego, Syberii i Kazachstanu. Nie licznym wywiezionym do Rosji udało się wrócić. Powrócili schorowani, często okaleczeni, ale nie mówili, gdzie byli. Wiedziała o tym tylko najbliższa rodzina, bo był to temat tabu. Podczas nauki w szkole podstawowej w mojej klasie było dwóch uczniów, których ojcowie byli deportowani do Rosji, ale wtedy o tym się nie mówiło.

MAŁA OJCZYZNA

Ornontowice to jest dla mnie taka Mała Ojczyzna. Można powiedzieć że jestem zakochany w swojej miejscowości. Pamiętam Ornontowice 50 lat temu. Teraz widzę jak wszystko się zmieniło na lepsze, nowocześniejsze, ładniejsze. Przykładem są obiekty sportowe. Kiedyś było jedno boisko trawiaste pełne kretowin. Teraz mamy 3 boiska trawiaste i 2 orliki. Prawie 5 boisk mają takie małe Ornontowice. Na każdym boisku widać dzieci i młodzież uprawiającą najbardziej popularną dyscyplinę jaką jest piłka nożna. Mamy bardzo aktywną społeczność lokalną. Prężnie działają organizacje społeczne, a są to: GKS Gwarek Ornontowice, Koło Gospodyń Wiejskich, Chór Jutrzenka, Rejonowe Stowarzyszenie Pszczelarzy, Fundacja Szafa Gra, Towarzystwo Miłośników Ornontowic.

Aleksy Gembolis

Zawsze trzeba wierzyć, wiara uszlachetnia człowieka.

ur. 15.02.1948 r Ornontowice, Piekarz,
Członek Towarzystwa Miłośników Ornontowic



Zdj. Aleksy Gembolis

Jo zech je z pokolenia kaj po niemiecku się godało. Ojciec Niemiec, czyli ten niemiecki troszka. Chocíoż wstyd, bo w szkole nos tępili, ze względu na inkszo polityka jako to była po wojnie. Takie były czasy. Moja mama jest stąd, czysto ornontowianka, a ojciec jest z Łabęd. Jo się urodził w Łabędach, ale mieszkali my w Sośnicy, tam my dostali najbardziej po kości. Cóż takie były czasy, było trzeba się do wszystkiego dostosowywać...

- Ja na początek chciałem się przedstawić, nazywam się Magdalena Szpik i chodzę do 7 klasy. Celem mojego wywiadu jest dowiedzenie się o stanie wojennym, ale na początek jakby mógł Pan o swoim dzieciństwie trochę opowiedzieć.

No, urodziłem się w 48 roku po wojnie. Mój ojciec właśnie wyszedł z niewoli ruskiej, był niemieckim żołnierzem, który służył na wschodnim froncie, bo go Stalin grabił, no tak musioł. Był ciężko ranny, stracił praktycznie po pół stopy w jednej i drugiej nodze z odmrożenia.

Nos było pięciu braci i jedno siostra. Mając lot 14 zaczął zech się uczyć. Wybroł zech se taki zawód no piekora cukiernik i zech przerobił tukej 45 lot w zawodzie.

- Mógłby Pan powiedzieć co to był stan wojenny, na czym on polegał?

Jaruzelski, to łon wprowadził stan wojenny to jest... Niejeden człowiek w Polsce mu zawdzięczo życie. Bo jakby Sowiety tu wleźli to by nie było sto, dwieście ino tysiące ludzi by mogło poginać i tak to się zaczęło. Potem były restrykcje, kartki były wprowadzane różnego rodzaju na żywność, na szczerwiki. Jak chcieliście szczerwiki kupić to musieliście mieć kartka, żeby iść i wykupić, przecież to nie było, że jo chca takie albo takie. Sztuka, ciepnał i koniec. To były sztuki. No i potem były kartki na mięso, no i sam było też troszka niesprawiedliwości, bo jedni dostawali więcej, jedni mniej. Najbardziej poszkodowane w tym czasie były dzieci.

Była godzina policyjna, godzina dziesiąta – koniec. Żeby iść na ta jedenasto, dwunasto to musiołech mieć tako kartka ze zezwoleniem. Tu była milicja kiedyś, ale tajnioki jeżdżily i obserwowały wszystkich. Najgorziz było jak ludzi ponizali. Stan wojenny to nie było nic dobrego, to ino ludzie cierpieli. Tutej w Ornontowicach był spokój. Ludzie byli tacy zorganizowani. Stan wojenny to była konieczność. Bo my byli biedni, bo my by byli powywożeni. Ruscy to już mono słyszeliście co robili, na kopalnie wywozili. Nos oswobodzili, ale psychicznie nos wykończali. Brońcie, żeby nie doprowadzić zaś do takiego stanu.

- Wracając do tych kartek, to rodzice mi tutaj dali taką jedną. O takich kartkach Pan wcześniej wspominał?

Ja. Jedyne co nie było reglametowane to był chleb. To było najtańsze co mogło być. Oni tym uspokajali ludzi i ludzie wykupywali, a nie, że teraz kupisz jeden bochenek, dwa bochenki, trzy bułki. Kiedyś nie.

Kolejki stawały już o godzinie 1:00, 2:00 w nocy. Ten co dzień prędzej stawał dostawał 10,15, 20 bochenków, oni to futrowali kury, świnię. Jeden futrował, a drugi nie miał nic. Dziesiąty, dwudziesty nie dostał już nic, zaś kolejka dalej stała i między tymi ludźmi tak złość robili, bo jak ludzie są jak pies z kotem to nimi się lepiej rządzi. Nie każdy to miał, ale byli ludzie i byli ludziska. Jo na przykład, nie powiem, bo mój szwagier robił na Budryku. Jak coś źech chciał to mi pedził tak: Co potrzebujesz? No to „fifti – fifti”, ale byli tacy ludzie w okolicach co chcieli trzykrotnie. Tysiąc za trzy tysiące, ten pieniądz nie miał wartości. Inni dostawali auta na kartki, przypuścmy ktoś kupił malucha za 80 000, pojeździł dwa, trzy lata, pojechał na giełda i sprzedał za 30 000 lub 400 000 zł, bo ten pieniądz nie miał wartości.. Ten pieniądz co dzień tracił swoją wartość.

- Z jakim słowem kojarzy się Panu „stan wojenny”?

Nic dobrego. Nic dobrego, to była tragedia. Oni chcieli nas ubezwłasnowolnić, no chcieli nas zniszczyć, jak się naród zniszczy to jest najgorsze. Nigdy więcej wojny, Nigdy więcej takich upokorzeń, żeby człowiek na człowieka był wilkiem. Zawsze w domu godom, że jak jest zgoda to jest wszystko, to nie trzeba ani pieniędzy. Jest pieniądz ważny, ale zawsze ktoś jeden drugiemu pomoże. Niech tak pozostanie tak jak jest.

Nigdy wycyń wojny, upokorzeń, nienawiści, chamstwa ale zgody, pokory, wycyń wiary, szacunku do drugiego człowieka, poszanowanie. To co jo i inni ludzie przeżyli niech na zawsze zatrze pamięć i niech zapanuje pokój.

Rozmawiała:
Magdalena Szpik

100 słów W ramach projektu

„100 na 100 czyli 100 słów na 100-lecie Niepodległości”

Staraliśmy się wybrać sto słów, które w jakiś sposób wpisują się w świadomość mieszkańców Ornontowic. Niektóre z wypisanych poniżej słów zostało wskazanych przez naszych respondentów jako istotne, na przykład głód, patriotyzm lokalny lub dom; niektóre pojawiały się bardzo często w opowiadanych historiach – Hegenschaidt, gruba, albo wojsko; sporą część wybraliśmy.

Czasami są to słowa określające jakąś ważną, sytuację czy rzeczywistość lub związane ze znaczącym dla naszych rozmówców wydarzeniem, są to między innymi ROW, organy, profesor Stroński. Zdarza się, że są to słowa bardzo zwyczajne, takie jak rodzina, matura, podróż, które jednak zmieniły swój wydźwięk, które dla nas mają trochę inne znaczenie – chcieliśmy w ten sposób zwrócić uwagę na to jak w ciągu tych stu lat zmienił się otaczający nas świat.

Znajdą się tu również słowa zapomniane, zazwyczaj z gwary, dziś już powszechnie nie używane, które chcemy w ten sposób ocalić od zapomnienia, przykładowo rafiok, piekarok lub werksztela.

Ornontowice

1. ROW – Rybnicki Okręg Węglowy
2. Hegenscheidt – rodzina przemysłowców śląskich, która mieszkała w Ornontowicach
3. Samorządność
4. Przysiółek
5. Felczer
6. Starzyk/starka; starzyki
7. Dom
8. Świętowanie
9. Strata
10. Rodzina
11. Praca
12. Opa/oma
13. Odwaga
14. Podział
15. Głód
16. Wojna
17. Bóg
18. Wojsko
19. Wyzwolenie
20. Stan wojenny
21. Okupacja
22. Gruba - kopalnia
23. Dół (pracować na dole kopalni)
24. Partia
25. Komunizm
26. Socjalizm
27. Rus
28. Prus
29. Szczęść Boże (powszechne przywitanie – Dzień Dobry)/ Z Panem Bogiem (powszechne pożegnanie – Do widzenia)/ Dej Panie Boże

(pozdrowienie dla ludzi pracujących/odpowieź pracujących)

30. Społeczność
31. Społecznie (coś robić)/ czyn społeczny
32. Zamek
33. Górnik
34. Obóz
35. Zbrodnia katyńska
36. Policjant
37. Milicjant
38. Ojciec
39. Matka
40. Patriotyzm lokalny
41. Kościół
42. Szkoła
43. Ochronka (szkółka)
44. „zakonne panny” – siostry zakonne
45. Nauczyciel
46. Polski
47. Śląski
48. Niemicki
49. Rosyjski
50. Rodzicielstwo
51. Dzieciństwo
52. Małżeństwo
53. Miłość
54. Zakochanie
55. Podróż
56. Pociąg
57. Ornontowice
58. Gmina

59. Ornontowianie
60. Szezlong
61. Werksztela – warsztat
62. Rafiok – wóz drabiniasty
63. Klasztor
64. AK – Armia Krajowa
65. Uczelnia wyższa
66. Matura
67. Róże
68. Kopa ornontowicka
69. Filipusy - drewnienka do rozpalania fajki
70. Pieczki/bryja
71. Pyntofle
72. Bąk – zabawka dla dzieci
73. Po bosoku- na bosaka
74. Czekolada
75. Kołoczek – drożdżówka
76. UNRRA – Organizacja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy
77. Piekarok – piekarnik w piecu węglowym
78. Słomionki – koszyki ze słomy np. na chleb
79. Szkloki - landrynki
80. Kopalnioki – czarne landrynki anyżowe
81. Profesor Stroński
82. Wilijo - wigilia
83. Moczka – deser wigilijny
84. Konopiotka – zupa wigilijna
85. Zajączek
86. Tradycja
87. Apluzyny – pomarańcze
88. Komora
89. Gruza (na kartofle)

90. Krałzy - słoiki
91. Byfjy – tradycyjny śląski kredens
92. HJty (Hitler-Jugend)
93. Luftbiksa – wiatówka
94. Wieża
95. Wiara
96. Obóz
97. Szrank - szafa
98. Chachorszałot – śląska sałatka z ziemniaków, jajek, ogórków kiszonych, cebuli i smażonego boczku
99. Ciapkapusta / ciaperkapusta – potrawa z gotowanych ziemniaków wymieszanych z ze-skwarzonym boczkiem i ugotowaną kapustą kiszoną
100. Zolówki – podeszwy

10 słów

1. Dom – ważny jako budynek, ale przede wszystkim przez wartości, które reprezentował, przez relacje, które w nim powstawały i przez wspomnienia, które się teraz z nim wiążą.

„Zawsze w domu, że jak jest zgoda to jest wszystko, to nie trzeba ani pieniędzy.” (Aleksy Gembolis)

„Dawniej jedyne było, że się w szkole mówi po polsku, a w domu po ślunsku. Ja zawsze mówiłam, że trzeba mówić poprawnie, a w domu możecie robić co chcecie, bo ja też w domu mówiłam po ślasku, a w szkole po polsku.” (Eleonora Skrobacz)

„F.H.: No i ojciec zbudował taki wysoki dom, najwyższy w Ornontowicach, zaraz otynkowany, zaraz był ogród, zaraz wszystko super i oni go z tego domu zabrali.

G.H.: A my potem, jak my przyszli za dwa lata z tych Niemiec, to ten dom był upaństwowiony. No i my przyszli, mama z czworgiem dziećmi, takie jeszcze małe my były, to wszystkie pokoje były zajęte, my wszystkie w jednym pokoju, we własnym domu i długo był on upaństwowiony.” (Gizela i Felicja Herdzina)

„dom człowieka ostrego, który dawał poczucie bezpieczeństwa i [...] to było oczywiście przede wszystkim relacje, tata, ja, ona, ale też i ta rzeczywistość tego domu, mama przed śmiercią ten dom dokładnie wysprzątała. Ona nadała temu domu taką atmosferę, która jest pielęgnowana po dzień dzisiejszy, przez urządzenie tego domu, przez urządzenie ogrodu, przez... to było to co ona wyniosła z domu, tutaj potem to przełożyła” (ks. Lucjan Bielas)

„bo mieszkaliśmy w domu, w którym mieszkało pięć rodzin. Wtedy takie czasy były. To byłam wychowywana z kuzynostwem i to wtedy było bardzo wesoły, był ogródek u babci, place, no i to tak się bawiłam” (Lidia Szary)

„jego osobowość charakteryzuje może nasz dom, który był zawsze otwarty dla wszystkich i bardzo dużo ludzi się w tym domu spotykało” (Teresa Zdzieblik-Kudła)

2. Samorządność – była ważna ponieważ mieszkańcy Ornontowic zawsze chcieli mieć wpływ na to jak wygląda ich życie, jak wygląda miejsce, w którym mieszkają.

„Samorządność, że jednak nie jakieś tam dyrektywy, wszystko tylko odgórne, albo co najmniejsze do załatwienia wewnątrz, interesujące czy potrzebne przez daną społeczność, trza było mieć uzgodnienie z komitetem jakiegoś tam PZPR, powiatowego, miejskiego,

Samorządność to samemu decydować o tym, najlepiej wiedzący co jest pilne, co jest ważne, co w jakiej kolejności robić, na co nas stać i na jakie mamy dochody, na co nas stać i co umieścić w budżecie do realizacji, co przegłosować na sesji tej, żeby później można to było realizować, bo to musiała być pokrycie finansowe w budżecie i jak nie miało pokrycia, to znów trzeba było wielkie uzasadnienia szukać, żeby zaczerpnąć kredytu i z czego, i kiedy, i z jakich źródeł będzie pokryty odsetki, i kredytowe, i tak dalej...” (Maksymilian Chrobok)

3. Świętowanie – bardzo ważna umiejętność znalezienia czasu na powstrzymanie się od pracy, odpoczynek, znalezienie czasu, w który można celebrować uroczystości, wspólne chwile, poświęcić czas Bogu, drugiej osobie, sobie samemu.

„wolność jest rozeznawana, [...] jest rozpoznawana przez świętowanie. Jeżeli ktoś jest wolny, umie świętować, ma czas na celebrowanie uroczystości, niewolnik tylko pracuje. I świętowanie było wpisane w gospodarstwo dziadka.” (ks. Lucjan Bielas)

4. Strata – czasy wojny, okupacji, stanu wojennego często wiązały się z jakimiś stratami, nie tylko rzeczy materialnych, ale też osób, wartości, lecz mimo wszystko trzeba było żyć dalej.

„Bo jest rodzina, dzieci i nagle ojca zabierają, i matka do pracy, i 4 czy 5 dzieci. Co robić? Nie ma zasiłku, a nie wiadomo gdzie on jest – ojciec. Zabrali go żołnierze i pojechali. A gdzie? Nawet listu nie można było wysłać.” (Andrzej Kotyczka)

„Tu była artyleria przeciwlotnicza niedaleko, jak się wyjeżdża na Zamkową. Tam były strzały takie dosyć poważne, że wszystkie szyby poszły.” (Ronald Winkler)

„nosiła w sobie taki żal, że w momencie kiedy ktoś z Ornontowic przyszedł mu powiedzieć, żeby uciekał, bo po niego idą policja z Orzesza [...]. Miał okazję uciec, byłoby to tchórzostwo. On został, bo powiedział, że On po prostu robi dobrze dla Polski i on został.” (Małgorzata Mrozek)

„Tato, wyście mie niy poznali?” (Cecylia Spyra)

„I babcia moja dostała tylko zdjęcie brzozy, pod którą jest pochowany ale przypuszczam, że to zdjęcie to była taka sztampla, którą dostawał każdy żołnierz, który zginął na froncie wschodnim.” (Teresa Zdzieblik-Kudła)

„Ojca zebrali już w lutym, nasza rodzina to była matka, troje rodzeństwa, matka była w ciąży” (Walter Niemiec)

„Po tym jak tata wyjechał z domu na zgrupowanie, kontakt z nim się urwał ... i dopiero w 2008 roku pojechałem na grób ojca. [...] Ja nawet byłem w tej piwnicy gdzie ich wystrzelali, jest tam teraz taka tablica pamięci. Jak tam ziemia była czarna, a cement w tej piwnicy był szarego koloru, tak do teraz jest czerwony. Tyle krwi tam przelano. Gdy te zwłoki już zakopano to sadzono na nich drzewka, do dziś tam nie zaśpiewał ani jeden ptak.” (Bolesław Piątek)

„Wyrzucili nas z domu, a ojca wywieźli na Sybir, a nam powiedzieli, że jak się nie wyniesimy [...] I dlatego czasy okupacji to były najlepsze czasy. Tata tam patrzył, zawsze radio miał i tako wielko mapa, no i zawsze tam na tej mapie szukał kaj oni są, czy idą na wschód czy na zachód, a my tylko słuchały bajki w tym radiu. A potem się to w '45 wszystko skończyło.” (Gizela i Felicja Herdzina)

5. Rodzina – niezwykle ważne relacje, często oparcie w najtrudniejszych momentach, powód do pokonania przeciwności, wzór do naśladowania... dla każdego rodzina znaczyła trochę coś innego, jednak zawsze była istotną częścią życia.

„ja jako dziecko, ja się tam świetnie plasowałem, ja się dziadka nie bałem, miałem ogromny szacunek dla dziadka, mnie on imponował, tak wyrastałem. Jak się ten tam dom rozwijał i te prace tego dziadka, to wszystko to było...

to była postać taka ... i ta cichutka babcia w tym wszystkim, którą on niezmiernie kochał” (ks. Lucjan Bielas)

„My wszyscy byli jak jedna rodzina. Te pięć rodzin mieszkało w jednym domu. Takie małe dzieci, trzylatki, cztero, to one się zabawiły, ino to ta babcia ich pilnowała” (Lidia Szary)

„rodzina była wielopokoleniowa, mieliśmy babcię, mieliśmy dziadka, także oni też nas tam trochę pilnowali. Babcia była taki rozpieszczacz.” (Teresa Zdzieblik-Kudła)

„rodziny były liczne, nie tak jak teraz, i teraz powiedzmy taka rodzina jak miał mój ojciec, było 7 chopców i jedna dziolcha” (Walter Niemiec)

6. Praca – była sposobem na zdobycie środków do życia, ale też sama w sobie była ważna, dawała poczucie sensu, możliwość rozwoju, była również pewnym obowiązkiem, który trzeba było spełnić w trosce o swoją małą i dużą ojczyznę.

„jak dziadek pracował to był całkowicie przy pracy, to było takie zaangażowanie w pracę, po prostu aż musiał się zgrzać, to wszystko było tak prawda [...] jak się widziało dziadka pracującego to się brało za robotę [...] Nie było wulgaryzmu na budowie, nie słyszałem żeby tam ktoś na budowie coś niewłaściwego powiedział...” (ks. Lucjan Bielas)

„W naszym kościele jest sztandar też, który robiłam. Pięć sztandarów robiłam sama, no ale musiałam. Zaprojektowałam to wszystko sama, no i później robiłam tak żeby to wyglądało jakoś. No robota miałam cały czas” (Lidia Szary)

„To nie było wyboru, jak się skończyło szkołę podstawową w Ornontowicach w ciągu 14 dni trza się było prosić, żeby się znaleźć zatrudnienie, albo się miało umowę już, że się będzie uczyło jako krawcy, szewcy, kowale” (Maksymilian Chrobok)

„Znaczy w tym czasie to myślę, że wszystko kręciło się wokoło takiego słowa dokładność, bo i szyć musiałyśmy dokładnie ... znaczy tak: sumiennie. Dokładnie ... jako kreślarz też, w tym dziale mierzniczym na kopalni „Knurów”, także to też musiało być dokładne. [...] To się tak wydaje, ale jakby się tak zastanowić, to to szycie też nie było takie łatwe jak inne zawody. To znaczy każdy zawód ma swoje trudności, takie momenty kiedy trzeba być właśnie dokładnym, trzeba być precyzyjnym,

trzeba być sumiennym ... tak samo w każdym zawodzie jest.” (Małgorzata Malczyk)

„Robota była naprawdę odpowiedzialna. Także nie mogę powiedzieć, żeby to była łatwa praca.” (Andrzej Kotyczka)

„(po wojnie) myśmy pracowali normalnie, tylko z wielką ochotą ... i z wielką radością, i proszę pana, co tylko się mogło, to się robiło.” (Eleonora Skrobacz)

7. Odwaga – niekoniecznie wiązała się z niezwykłymi czynami, często przejawiała się w codzienności, w małych gestach wierności – ideałom, ojczyźnie, drugiej osobie.

„Stan wojenny, nie? Wybuchło w niedzielę, 13 grudnia, a myśmy jechali do Katowic wtedy z mężem na spotkanie powierników rodzin, dzień skupienia. I wtedy wszyscy tam musieli dojechać [...], a rano już tylko widziałam w telewizji, że jest stan wojenny. Mąż do mnie powiedział, że nie jadę, a ja że jadę, bo jak wszyscy tam będą, to nie może mnie zabraknąć. W Katowicach Piotrowicach to już były czołgi na peronie, żołnierzy pełno. Czołgi jak się wychodziło, pełno żołnierzy, ale jakoś doszliśmy, [...] ten co się nami zajmował, jak nas zobaczył powiedział: „A po coście przyjechali, skoro wiedzieliście, że jest stan wojenny?”. To było takie coś dla mnie niepojęte, my jedziemy, się narażamy, aż mi się płakać chce. Zostawiamy w domu wszystko ... a tutaj taka reakcja tego człowieka ...” (Małgorzata Malczyk)

„No tam się podzielił chlebem z jakimś biednym dzieckiem i za karę został skierowany na front wschodni, gdzie praktycznie bardzo szybko został odstrzelony. [...] Dla niego to na pewno nie było żadne męstwo, bo on tak został wychowany [...] I dla niego nie było alternatywy. Dziecko głodne, więc trzeba mu dać chleba i to nie było żadne bohaterstwo z jego strony. Ale konsekwencje były jakie były.” (Teresa Zdzieblik-Kudła)

„Ponieważ moja mama chorowała, więc powiedziałam: „Obowiązkowo do Ornontowic.”, Boże, jak on na mnie: „Pani Eleonoro, każdy będzie za panią krzyczał, bo pani co niedawno skończyła tam szkołę podstawową i pani teraz znowu chce tam iść.”, a ja mówię: „Panie inspektorze, moja mama jest chora i potrzebuje opieki.” Cisza... „Dobrze, proszę Panią, jedźcie Pani do Ornontowic.” (Eleonora Skrobacz)

„Tam trzeba było opiniować, to nie było takie łatwe żeby wystawić na indeksie sztuki, bo wtedy było tylko na indeksie czy Dziady i inne takie. Robiłem kłamstwo, pisałem i się podpisywałem jako przewodniczący, bo byłem przewodniczącym tej Rady Społecznej, to pisałem, że pewne rzeczy. Miałem dobrze o tyle, że nie przyszli na kontrolę ... i miałem dobrze, że się do „mamra” się nie dostałem, jak to mówią, za takie coś można było się gdzieś dostać, ... no ale jakoś miałem takie względne szczęście. No, ale byli ludzie za czasów komunizmu, u nas w ogóle komunizmu nie było, tak tylko się mówi, ale byli też dobrzy ludzie wówczas, którzy tolerowali pewne rzeczy. Ja to zawsze miałem na sali pełno widzów, myśmy to nawet z naszymi spektaklami wyjeżdżali.” (Henryk Swoboda) I łon powiada, że chciałby sobie jeszcze zagrać, nim odyjdzie z domu, przy tym fortepianie, i matka, i dwóch tych niemieckich wojskowych, ale jedyn był z opolskiego przypuszczom, bo mówił bardzo poprawnie po polsku, może lepiej jak ja, a tyn drugi był Niemiec, ni umiał nic i pyto się tego kolegi: „Ty co łon to gro?” – po niemiecku oczywiście, a on pado: „Ach tako polsko piosynka.”, „A to nich gro.”. A tyn wiedzioł, że to jest hymn polski, tak się troszka uśmiechnoł, ale niy powiedział mu tego.” (Joachim Kotyczka)

8. Podział – trudne czasy wiązały się również z jakimś podziałem, niesprawiedliwym podziałem na ludzi lepszych i gorszych, ale też podziałem ze względu na zawirowania z granicami, które miały ogromny wpływ na życie ludzi na Śląsku.

„Z naszych bezrobotnych kaprowali na dogodne warunki, nawet jak miejscowy zabrzanin, bytomianin, na tym samym stanowisku, na tej samej pozycji, miał 4 marki na godzinę wie pani, to jak przyszedł przybysz od nas, wie pani, z Orzegowa, z Rudy, z Ornontowic, z Gierałtowic to miał jeden stopień wyższy, tam było niezadowolenie, mi to mówili, niezadowolenie: „Tak, bo wyżeracze przyszli, nie dość, że przyszli to jeszcze zawsze lepiej, więcej zarobiali od nas” (Maksymilian Chrobok)

„i już w tych rodzinach powstawał jakby taki zgrzyt, że jeden drugiemu zazdrościł, bo jak jeden mo zarobek i drugi jest bezrobotny. [...] byliśmy uznawani jako Niemcy, nie dość że z nazwiska, ale też ojciec robił za granicą” (Walter Niemiec)

„Nie każdy to mioł, ale byli ludzie i byli ludziska.

[...] Takie były podziały, no taka niesprawiedliwość, to nie było nic dobrego.” (Aleksy Gembolis)

9. Bóg, wiara – tradycyjne wartości, które były w śląskich rodzinach i miały wpływ na podejmowane decyzje, na codziennie wypowiedane słowa i pozdrowienia.

„był niesłuchanie, no zawsze był związany z Kościołem, ale on wtedy już mógł być codziennie na Mszy Świętej, ponieważ był przez chyba siedemnaście lat kościelnym [...] i ja go widziałem po prostu tam, tam jakoś ta pobożność do mnie dotarła poprzez właśnie tą atmosferę Ornontowic. [...] bo jak był Anioł Pański to starzy, czapkę zdając, pociepać wszystko i koniec – modlitwa prawda, Anioł Pański, bardzo jasna sprawa. A więc, i tutaj ktokolwiek przeszedł to było „Szczęść Boże!” prawda, tam nie było tego żeby, starzy na to niezmiernie kładli duży nacisk prawda, „Szczęść Boże”, „Dej Panie Boże”, „Boże pomogę!” (ks. Lucjan Bielas)

10. Patriotyzm lokalny – to troska mieszkańców o swoją miejscowość, to to co wykonują dla innych. Ornontowice mogą być pięknym świadectwem rozwoju naszego kraju od czasów wojen... „prowadziłam kursy haftów. Tutaj u nas w Kole Gospodyń, wszystkich wsiach kościelnych prowadziłam kursy haftu, nawet w szkole godziny świetne, zajęcia świetlicowe, to też starsze już trochę dziewczynki co tam chciały haftować. Dwa razy w tygodniu przychodziłam na zajęcia świetlicowe to się dzieci cieszyły” (Lidia Szary)

„Nie, nie, nie ona [kopalnia „Budryk”] była, to był 1988 rok, a jak zaczęli wydobywać to był '90 jakoś. No i potem był zamknięty, to nos tu było, 800 ludzi nas tu zostało, bo inni poszli na inne kopalnie, a ja tu zostałem cały czas. Tu my robili takie przebudowy, takie poprawki na tej kopalni, cały czas tu.” (Marian Matras)

„z opowiadania mojej mamy, pamiętam, że był właśnie takim działaczem, ... że ojciec jego, mój dziadek też bardzo się udzielał – był radnym gminy, był w radzie parafialnej – no taki działacz. No i widocznie synowie po nim to też odziedziczyli, szczególnie on, jako najstarszy.” (Cecylia Spyra)

„Ornontowice to jest dla nas taka mała ojczyzna, my się tu czujemy jak w domu; człowiek jest

zakochany w swojej miejscowości. Ja pamiętam Ornontowice lat pięćdziesiąt wstecz i teraz widzę jakie wszystko jest ładniejsze.” (Andrzej Kotyczka)

„No rozwinęły się, bardzo się rozwinęły Ornontowice, z tym, że to nie była tylko zasługa mojego dziadka, bo to cała społeczność, wszyscy pracowali na to, ale on jak gdyby był tym drogowskazem i prowadził w określonym kierunku. Mój dziadek jak gdyby, wyprzedzał to swoje pokolenie i wiedział w jakim kierunku ma iść ta koniunktura, tak bym powiedziała.” (Teresa Zdzieblik-Kudła)

„To chyba we krwi musi być. Lubiłam między ludźmi być, organizować coś, żeby fajnie było. [...] jak moja mama się w tym aktywowała. Wszystko społecznie robiła.” (Bronisława Porembska)

„...w każdym razie, w przyszłym roku obchodzić będziemy stulecie tego Związku Pszczelarskiego. I to tak..., w czasie okupacji podupadł, potem odnowił się, potem znowu podupadł. Wziąłem się za tą robotę i w '67 za namową Wojewódzkiego Związku utworzyłem ten związek ponownie, no i chcę powiedzieć, że miałem rekordowy wynik, bo ponad 80 członków.” (Henryk Swoboda)



Towarzystwo Miłośników Ornontowic

Towarzystwo Miłośników Ornontowic jest stowarzyszeniem pasjonatów interesujących się historią Ornontowic. Członkami Towarzystwa są osoby w różnym wieku, w większości mieszkańcy Ornontowic. Spotkania członków odbywają się średnio 2 razy w miesiącu w sali ARTerii.

Celem Towarzystwa Miłośników Ornontowic jest:

- zbieranie i gromadzenie dokumentów, pamiątek i fotografii o charakterze lokalnym, wyszukiwanie danych historycznych, nie ujętych dotychczas w wydanych publikacjach, a znanych jedynie z przekazów słownych;
- dokumentacja i dygitalizacja wspomnień osób starszych;
- Identyfikowanie osób, obiektów na starych fotografiach, mapach itp.;
- przybliżenie wiedzy o historii, kulturze i tradycjach Ornontowic młodemu pokoleniu w postaci spotkań, prelekcji, prezentacji itp.; upowszechnianie pamięci o ludziach zasłużonych dla Ojczyzny jak i dla społeczności lokalnej; organizowanie uroczystości rocznicowych związanych z ważnymi wydarzeniami historycznymi i kulturalnymi; ochrona dziedzictwa historycznego i kulturowego, zabytków, pomników oraz miejsc szczególnych dla Ornontowic;
- prowadzenie badań dotyczących historii Ornontowic w archiwach państwowych i kościelnych;
- Publikacja informacji historycznych uzyskanych podczas spotkań roboczych Towarzystwa w Zeszytach Historycznych będących naturalnym uzupełnieniem dla dotychczasowych oficjalnie wydanych publikacji;

W okresie ostatnich 2 lat naszej działalności możemy się pochwalić realizacją wielu zadań. Co kwartał publikujemy w Głosie Ornontowic „Zeszyty Historyczne” Dotychczas wydano 6 numerów kwartalnika zawierających następujące tematy: Z historii straży pożarnej, Nasi duszpasterze na przełomie XIX i XX wieku, Majątek dworski rodziny Hegenscheidt w Ornontowicach, O początkach ornontowickiego górnictwa, Siostry Służebniczki i ich ornontowicki klasztor, Powstańcy śląscy z Ornontowic.

W ramach jednego z projektów realizowanego wspólnie z ARTerią Centrum Kultury i Promocji w Ornontowicach, zorganizowaliśmy wystawę dawnych fotografii, a przy jej okazji został wydany Dziennik Odkrywców Historii Ornontowic – książka która przez rebusy i zagadki pomaga zdobyć i ugruntować wiedzę związaną z historią Ornontowic.

Ponadto organizujemy wspólnie z ARTerią Centrum Kultury i Promocji w Ornontowicach uroczystości rocznicowe poświęcone ważnym wydarzeniom historycznym. W początkiem każdego roku organizujemy konferencję poświęconą Tragedii Górnośląskiej, czyli losom Ślązaków interno-



Zdj. Towarzystwo Miłośników Ornontowic – na schodach pałacu rodziny Hegenscheidt

wanych do Rosji Sowieckiej w styczniu 1945 roku, zaś we wrześniu 2018 roku odbyły się uroczystości upamiętniające funkcjonariuszy Policji Województwa Śląskiego II RP poległych i zamordowanych przez NKWD w kwietniu 1940 roku. Również we wrześniu 2018 zorganizowano uroczystości poświęcone sześćdziesiątej. rocznicy tragicznego pożaru w kopalni Makoszowy. Nasze Towarzystwo współpracuje z Ogólnopolskim Stowarzyszeniem Rodzina Policyjna 1939 r. z siedzibą w Katowicach oraz Stowarzyszeniem Pamięci Tragedii Śląskiej 1945 z siedzibą w Zabrze. Członkowie nasi są zapraszani do szkoły podstawowej w Ornontowicach celem prezentacji ciekawych wydarzeń z historii Śląska. W ubiegłym roku zaprezentowano uczniom klas VII ciekawostki historyczne z dziejów Ornontowic. W listopadzie br. przedstawiono uczniom klas VII i VIII prelekcję z okazji Setnej rocznicy odzyskania przez Polskę Niepodległości.

Wszystkich zainteresowanych historią Ornontowic zapraszamy na nasze spotkania oraz na stronę internetową www.historiaornontowic.pl, jest ona prowadzona przez naszego najmłodszego członka Kamila Grzywoka. Strona powstała dzięki bardzo dużemu zaangażowaniu Kamila i zawiera ciekawe informacje z historii Ornontowic oraz wiele archiwalnych zdjęć i pocztówek sprzed 1945 r.

Andrzej Kotyczka

ARTeria
dla ludzi z pasją



niepodległa

POLSKA
STULECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI



OJCZYSTY - DODAJ
DO ULUBIONYCH

